Kwiecień 2024 • nr 4 (201)

ECHO ZŁOTORYI

Cena: tylko 5 zł

ISSN 1897-4023

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja

Rondofobia i inne strachy

Wystarczy włączyć lokalny portal internetowy lub przejrzeć grupy w mediach społecznościowych, by przekonać się, że mieszkańcy naszego miasteczka boją się zmian. Szczególnie jeśli chodzi o zmiany w infrastrukturze drogowej. Z jednej strony padają zarzuty, że drogi mamy dziurawe, że jeździć nie można, ale kiedy zapowiadane są remonty lub modernizacje albo budowy nowych jezdni, skowyt internautów zdaje się być głośniejszy niż lament wylewany z wcześniejszego powodu.

Najbardziej dostaje się decydentom, że stawiają na budowanie rond w miejsce tradycyjnych skrzyżowań. Wypomina się urzędnikom, że Złotoryja będzie Rondoryją, że to gruba przesada, marnotrawienie pieniędzy, niegospodarność itp. Szczerze – nie rozumiem, skąd ta rondofobia. Jako kierowca, ale też jako piesza uczestniczka ruchu, wiem, że takie rozwiązanie czyni skrzyżowanie bezpieczniejszym, wystarczy tylko pamiętać zasadę, jak wjeżdżać na rondo i jak z niego wyjechać. W setkach, tysiącach miast ronda buduje się od lat i to nie tak proste, jak w Złotoryi, ale np. turbinowe, które wymagają większej uważności od kierowców. Już sobie wyobrażam, co by było, gdyby takie rozwiązanie wprowadzić w naszym miasteczku. Przeciwnicy rond z jednej strony narzekają na skrzyżowania z sygnalizacją świetlną, bo generuje korki, ale z drugiej strony nie akceptują prostszego rozwiązania. Trudno mi to zrozumieć. A jeszcze trudniej pojąć argumenty, że auta na rondach emitują więcej spalin niż na skrzyżowaniu ze światłami lub ten, że ludziom mieszkającym przy rondach będzie bardziej przeszkadzać ruch, szczególnie kiedy wcześniej i tak mieli drogę wojewódzką pod oknami.

Podobnie nie rozumiem krytyki ścieżek pieszo-rowerowych. Cały cywilizowany świat stawia na ekologię, sprzyja transportowi rowerowemu, ale u nas, gdy wybudowano kilka kilometrów takich szlaków, okazało się, że pomysłodawcę projektu najchętniej wywieziono by na taczkach z miasta albo przykuto do pręgierza. Powód? Jak dla – trudny do pojęcia. Tym bardziej, że ścieżki te służą zarówno rowerzystom, rolkarzom, jak i spacerującym. Są też po prostu chodnikami, tylko szerszymi niż dotychczas. A ruch na tych drogach, wbrew sceptykom, naprawdę nie jest szczątkowy, o czym można się przekonać, wychodząc z domu i porzucając komputer, gdzie najchętniej lokują się wszelkiej barwy krytykanci.

Trzeci problem mieszkańców Złotoryi to budowa nowych dróg prowadzących do nowo budowanych osiedli mieszkaniowych. Po co? Dla kogo? Szkoda pieniędzy! – grzmią ci z natury z niczego niezadowoleni. Myślenie o tym, co będzie za kilka lat, jest dla wielu zbyt trudne. Więc może wytłumaczę – jeśli budują się osiedla, to ludzie chcieliby mieć do nich dojazd drogą lepszą niż polna czy gruntowa. Jeżeli będzie dojazd, deweloperzy i prywatni inwestorzy chętniej będą kupować działki, a jak będą kupować działki, miasto będzie się rozwijać. To tylko jeden z powodów.

Myślę, że gdyby nasi przodkowie mieli takie nastawienie do inwestycji, jakie prezentują niektórzy złotoryjanie, do dziś żylibyśmy w jaskiniach, ze strachu przed nowoczesnością. I w myśl zasady: po co nam więcej, lepiej, nowocześniej!

Iwona Pawłowska

Ciągle w drodze

Iwona Pawłowska: Czym dla Pana jest to tytuł Człowieka Ziemi Złotoryjskiej, który został Panu przyznany przez Kapitułę w tym roku?

Zbigniew Mosoń: Jest szczególnie ważny z tego względu, że członkami kapituły są ludzie, którzy rzeczywiście działają na rzecz regionu. Nie jest to nadanie urzędowe ani głosowanie dzięki esemesom czy też w innej formie, co też pewnie ma swój wymiar, tak było w przypadku Top 5 Radia Wrocław, gdzie ludzie głosowali, ale było to bezpłatne, więc z czystym sumieniem mogłem namawiać do takiego głosowania.

W tym przypadku była to nominacja zgłoszona przez tych, którzy dostrzegli moje działanie i docenili to, co robię społecznie, bo nie problem jest realizować nadane zadania, otrzymując za to wynagrodzenie, nie wymagano od nich nadzwyczajnego wysiłku. A to, co ja robię, jest poza godzinami służbowymi. Oczywiście też się zazębia w jakiejś mierze, bo ten mój teren eksploracyjny również obejmuje gminę Paszowice, w której pracuję. Ale generalnie moje działania obejmują cały teren Gór i Pogórza Kaczawskiego, a nawet szerzej pojętego regionu, czyli od A3, od A4 czy Jeleniej Góry aż do Bolesławca. Jest to teren naprawdę bardzo duży, dużo większy niż obszar LGD czy obszar geoparku.

Drugim powodem mojej radości jest fakt, że nie spodziewałem się tego wyróżnienia. Zupełnie było dla mnie zaskoczenie do ostatniej sekundy.

Nie było przecieku?

Nie, zupełnie nie. Mimo, że znam ludzi z kapituły, to nikt mi nic nie mówił. Zresztą nie oczekiwałbym nawet tego, bo uważałem, że te propozycje, które zostały już wyłonione, ta Wielka Piątka, to już są ludzie, którzy mają pewien dorobek i pewne dokonania, więc dla mnie już to było to ważne, że znalazłem się w tej Piątce. Rok wcześniej również byłem nominowany, ale nie znalazłem się w Piątce, jednak wtedy być może jeszcze mniej było słychać o tym, co robię, mimo że to robię od kilku lat. A w tym roku jakoś tak głośniej trochę o nas było, więc być może też łatwiej było dokonywać tych wyborów.

A kogoś pan uważał za faworyta?

Gdyby przyjąć kryteria dokonania za rok miniony, to być może Wacek Patalas. Ta jego książka to było wydarzenie. A gdyby brać uwagę całokształt działań no to Olek tu jakby dla mnie był typem takim numer jeden.

Jak w Pana otoczeniu przyjęto wybór, jakiego dokonała Kapituła?

Rewelacyjnie. Tysiąc lajków chyba dostałem łącznie. Co się nigdy nie zdarzyło. Zresztą już po nominacji, kiedy tę informację opublikowałem, to też było dużo ludzi, którzy stawiali na mnie. Generalnie było bardzo, bardzo ciepło przyjęte. A już zdanie Krzyśka Maciejaka, że uważa, że Kapituła dokonała dobrego wyboru, miało dla mnie znaczenie szczególne.

No to i ja osobiście się cieszę, jako przewodnicząca Kapituły, że nasz wybór spotkał się z taką akceptacją w środowisku dość szerokim. Bo też grupa Pana fanów jest ogromna. Ile konkretnie osób liczy sobie społeczność Gór i Pogórza Kaczawskiego, która Pan założył?

To się pewnie dzisiaj zmieniło już od rana. Ale ostatnio, gdy sprawdzałem, było dziesięć tysięcy czterysta osób. Tak więc jest to spora liczba, a grupa ma chyba trzy lata.

Analizował Pan, kogo skupia ta grupa?

Generalnie jest cały kraj, oczywiście z głównym naciskiem na Dolny Śląsk: Złotoryja, Legnica, ale bardzo dużo osób z Wrocławia Można przyjąć, że Dolny Śląsk to jest około 50-60% i reszta to pozostały teren kraju, czego dowodem są obecności na wycieczkach, bo na ostatniej byli uczestnicy z trzech województw. Czyli pokonywali nawet dystans ponad 100 km, żeby przyjechać na wycieczkę. Można powiedzieć, że trzy najbliższe województwa: dolnośląskie, lubuskie i opolskie, to jest trzon grupy.

Od kiedy Pan zajmuje się propagowaniem uroków Dolnego Śląska? Czy te działania związane były z wykonywanym zawodem?

Już teraz mało kto może pamięta moje pierwsze działania. To był rok 1998, kiedy zająłem się zagospodarowaniem terenu wokół kościoła św. Jana i św. Katarzyny w Świerzawie, który w przyszłości stał się głównym obiektem mego zainteresowania zabytkami. Wtedy też powstały pierwsze publikacje o kościele. Następnie założyłem Stowarzyszenie Miłośników Gór Kaczawskich, później kolejne - Stowarzyszenie Agroturystycznego Gór Kaczawskich, następnie Stowarzyszenia Sonove. Wtedy to był początek, wówczas zostałem radnym Rady Powiatowej w efekcie pierwszych wyborów samorządowych w nowej formule, czyli w czasach, gdy powstały powiaty. I później jakby tak sukcesywnie, w trakcie mojej pracy w Urzędzie Miejskim w Złotoryi przez ponad dwa lata, wtedy stworzyłem Dni Złotoryi, te duże, takie masowe w rynku.

Za mojej kadencji szefa Wydziału Promocji powstał pierwszy profesjonalny plan Złotoryi, powstała pierwsza strona internetowa Złotoryi. A później, jak już zostałem dyrektorem Centrum Kultury w Świerzawie, no to już zająłem się bardziej tym terenem. Aha, w 2012 roku zorganizowałem pierwszą dużą imprezę turystyczną, czyli Rajd Okole.

Zdobył Pan duża popularność wśród internautów nie tylko stworzeniem grupy Góry i Pogórze Kaczawskie, ale przede wszystkim organizowaniem wypraw po naszej bliższej i dalszej okolicy.

Trzy lata temu, kiedy zobaczyłem, że jest duże zainteresowanie wycieczkami, dałem się namówić na organizację wypraw cyklicznych, na przykład raz w miesiącu. Teraz przed nami będzie dwudziesta siódma wycieczka. Do tej pory żadna trasa się nie powtórzyła.

Co jest najtrudniejszego w zorganizowaniu takiej wyprawy?

Wytyczenie trasy, czyli konieczność nawet kilkukrotnego jej przejścia. Muszę ją przedeptać bardzo dokładnie, zbadać ewentualnie jakieś alternatywy w przypadku jakichś nagłych zmian pogodowych.

Taki przypadek miałem na Stromcu. Przygotowując trasę, szedłem po zmarzniętej ziemi, a później, kiedy za tydzień puścił mróz, to się okazało, że rozjeżdżona ciężkim sprzętem droga jest nie do przejścia.

Przedarliśmy się jednak z czego pozostały symboliczne fotografie, na którym jesteśmy uwiecznieni po kolana w błocie.

Czyli najpierw przygotowanie trasy, organi-

zacja parkingu i ewentualnie jakieś zabezpieczenie, ale tu mam Rudawską Grupę Poszukiwawczo-Ratowniczą, której członkowie każdorazowo są uczestnikami wycieczki, jednocześnie służąc jako pomoc medyczna.

Ważne jest też zapanowanie nad grupą. Co prawda to są dorośli ludzie, każdy robi co chce, ale w terenie ważne są: dyscyplina, ostrożność, uważność. Wyprawy są nieformalne, nie ma listy obecności ani opłat. Każdy w każdej chwili może odstąpić od tej wycieczki i nikt nie ma obowiązku docierania ze mną do końca, może w każdej chwili skręcić, może pójść do domu, może postanowić, że już dalej nie idzie.

Ci ludzie, którzy chodzą ze mną, to są prawdziwi turyści Chcą coś zobaczyć, umieją się zachować, np. nie zostawiają nigdzie śmieci, nawet jak są kosze. To jest po prostu grupa ludzi, którzy się lubią i którzy chcą razem pójść.

Ile kilometrów liczy sobie zwykle trasa wycieczki?

Od 10 do 14. Staram się nie przekraczać 14, bo to już jest za dużo.

W jakim czasie przemierzacie ten dystans?

Zawsze zakładam 5 godzin, czyli reguluję to przystankami. Wychodzimy zazwyczaj o godz. 10.00, a kończymy o godz. 15.00. Każdy idzie w swoim tempie. Czasem wyznaczam po prostu czas na przejście odcinka, a każdy idzie w osiągalnym przez siebie tempie.

Tak było w przypadku Szybowcowej. Mieliśmy chyba 40 minut na podejście i pół godziny na szczycie na odpoczynek, połączony ze zwiedzaniem hangarów.

Powrót jest zawsze w to samo miejsce?

Tak, bo zwykle tam zostawimy samochody i musimy do nich wrócić. Dlatego trasa musi być pętlą. Do niektórych miejsc musimy podjechać samochodami. Czasami jest taki kondukt samochodów, że ludzie wychodzą zaskoczeni z domów, bo to jest najczęściej 30-40 samochodów.

To tak dużo jest uczestników?

Dzisiaj wrzuciłem zaproszenie na wycieczkę po trasach gminy Bolków i już w ciągu godziny jest 130 zainteresowanych.

A jaki jest przedział wiekowy tych uczestników wycieczek?

Od 3 lat do 83. Najstarszym jest Rysiu, który ma 83 lata. Sam jest organizatorem wypraw po całym świecie. Dużo jest emerytów, ale chodzą też całe rodziny z dziećmi.

W jakie miejsca Pan prowadzi swoich turystów?

Staram się na wycieczkach zawsze zaplanować jakiś zabytek, który odwiedzamy na samym początku, póki mamy czyste buty, żeby nie nanosić błota do kościoła. No, ale przede wszystkim są to miejsca atrakcyjne przyrodniczo, często nieznane, położone poza szlakami😉 Po otrzymaniu wyróżnienia skonstatowałem, że nie było jeszcze wycieczki startującej ze Złotoryi. Zrodził się więc pomysł takowej w czerwcu br. Pod patronatem słynnej już galerii „Barwy Kaczawskie". Co więcej myślę o cyklicznych wycieczkach weekendowych po Złotoryi ze startem w Galerii.

Gdyby tak reklamować ziemię złotoryjską, Góry i Pogórze Kaczawskie, jakąś jedną atrakcją, to co to by było?

Oczywiście tu z Ostrzycą nic nie wygra, ale osobiście rzadko prowadzę wycieczki w te najbardziej popularne miejsca.

No dobrze, ale Ostrzyca to jest oczywista atrakcja i nie trzeba być regionalistą, żeby ją wskazać. Pytam o Pana odkrycia.

Mam swój ~~top,~~ top of the top takich miejsc i one nie zawsze są znane. Na tej liście jest na przykład Owczarek. To jest taki szczyt vis a vis Czartowskiej Skały, w lesie. Były wulkan, gdzie są trzy przepiękne wyrobiska. Promuję Owczarka od trzech lat chyba. Wreszcie zaczęto o nim mówić, ludzie zaczęli jeździć w to miejsce. Promuję też Mesznę – wychodnię skalną koło Połomu. Miejsce bardzo urokliwe. No i rzecz jasna - Okole. Nie ze względów sentymentalnych, z faktu, że opiekuję się Okolem od kilkunastu lat. Tam wytyczyłem ścieżki itd. Ale Okole jest rzeczywiście najbardziej atrakcyjne pod względem ilości wychodni skalnych. Tam też było pięć pomników przyrody. Na Okolu są takie miejsca jak Leśna Ambona, jak Czarcia Ambona, jest Klęśniak, takie urwisko skalne, do którego nikt nie dociera, bo nikt nie wie, że ono tam się znajduje.

Wizytówką naszej, choć już dalszej krainy są też okolice Lubrzy. To bliżej Bolkowa, czyli Karczmisko, Czerwona Skała, Diablak,

Są potężne kamieniołomy, np. Silesia w Wojcieszowie. Jego potęga jest przytłaczająca.

Jest też podobne wyrobisko Sobocin koło Mysłowa. Tam stoją największe cztery wapienniki Dwa lata temu jako jeden z pierwszych rozpocząłem mocną promocję tego miejsca. Teraz już jest wytyczona ścieżka.

Mówi pan tu przede wszystkim o geologii, a jeżeli chodzi o zabytki? Co tu jest według Pana najgodniejsze uwagi? Pewnie kościół św. Jana i Katarzyny w Świerzawie?

Otóż nie, najpiękniejszym kościołem ze względu na swe wyposażenie są Świny. Kto trafił tam, ten przyznaje mi rację. I ma najpiękniejsze wnętrze na Pogórzu Kaczawskim. Wnętrze i wyposażenie są renesansowe. Co prawda nie ma oryginalnego ołtarza, bo został wywieziony, ale można wejść i usiąść w ławce z 1600 roku. Ich konstrukcja jest wyjątkowa: są zamykane małymi drzwiczkami i posiadają dodatkowe siedziska. To wszystko ma 400 lat! Tego nawet w muzeach nie ma. Całe wyposażenie jest pokryte maureską, kształtnym ornamentem z wypisanymi na wszystkich elementach drewnianych cytatami z Biblii. I jest tam też najpiękniejsza loża kolatorska na Pogórzu Kaczawskim. Tym piękniejsza, że po procesie konserwacji.

Oprócz Świn polecam ołtarz w kościele w Lipie, no i oczywiście Wysocko. W Wysocku jest fragment ołtarza - dyptyku z połowy XV wieku z przedstawionym ukrzyżowaniem. Godny uwagi jest też obraz w kościele w Brenniku z warsztatu Cranacha Starszego albo figurka gotycka Matki Boskiej z XV wieku w kościele w Sokołowcu.

Ludzie jeżdżą do muzeów, kiedy w swojej wiosce mają takie dzieła sztuki, tylko wystarczy się przyjrzeć albo ktoś musi je pokazać.

Cudze chwalicie, a swego nie znacie.

Tak, tak. W regionie Gór i Pogórza Kaczawskiego dużo jest takich rarytasów. I ja o nich właśnie opowiadam, popularyzuję te atrakcje. Zawsze staram się być przygotowany. Kiedy oprowadzam po kościele, opowiadam o charakterze budowli, mówię o wszystkich świętych, których figury się tam znajdują, te nieznane staram się interpretować.

Zna się Pan na sztuce. Jest Pan z wykształcenia historykiem?

Nie, z wykształcenia jestem dyplomatą. Kończyłem stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Wrocławskim ze specjalizacją dyplomacji, ale robiłem też zarządzanie w kulturze na Jagiellonce, To jednak bardziej dotyczyło wąskiego zakresu kierowania placówką kultury.

Generalnie opieram się na literaturze. Mam przebogatą bibliotekę. Jestem ciekawy świata i poznaję ludzi, którzy mają pewną wiedzę. Jak opowiadam o czymś, to opowiadam bardzo szeroko, a ludzie potrafią zadawać różnego rodzaju pytania.

Jakie?

Czasami zaskakujące, np. w jaki sposób powoływano plebana w średniowieczu albo skąd pochodził pleban, albo jak wyglądał ryt prowadzenia mszy w średniowieczu, co jedzono w średniowieczu, jakie były wtedy ceremonie pogrzebowe, do czego służyły krypty, jak byli ludzie chowani w kryptach, do czego służyło lektorium, dlaczego oddzielało sacrum od profanum, dlaczego kobiety na renesansowych epitafiach mają zakryte usta i tego typu rzeczy. Trzeba mieć przebogatą, szeroką wiedzę, żeby móc takim ludziom odpowiedzieć generalnie na każde pytanie, jakie potrafią zadać.

Wróćmy do turystyki. Niedawno dowiedzieliśmy się, że Geopark Krainy Wygasłych Wulkanów otrzymał już tytuł patronat UNESCO. Jak to według Pana zmieni sytuację związaną z turystyką w regionie?

Przede wszystkim ten certyfikat ma aspekt promocyjny. Na pewno będzie większa łatwość pozyskiwania teraz środków na infrastrukturę. Druga sprawa to promocyjność, czyli wiele ludzi się dowie o tym miejscu. Nam się wydaje, że wszyscy już wiedzą o Krainie Wygasłych Wulkanów, ale tak wcale nie jest.

Ważne jest też umiejętne pokierowanie Geoparkiem, żeby lokalne społeczeństwo jakoś zintegrować wokół tej idei, bo to jest też jakieś wyzwanie dla decydentów, którzy będą kierować rozwojem Geoparku.

Nie boi się pan, że w związku właśnie z tą popularnością nasze Kaczawy czy w ogóle Kraina Wygasłych Wulkanów przestaną być taką dziewiczą przestrzenią?

Myślę, że nie ma jeszcze wcale u nas tak dużo turystów. Spokojnie jesteśmy w stanie wchłonąć jakąś liczbę odwiedzających, bo nawet analizując pewne inwestycje, to się okazuje, że u nas w pewnych miejscach np. nie opłaca się restauracji otworzyć, bo jest za mało klientów. Na przykład w Świerzawie czy do niedawna w Wojcieszowie.

Naprawdę nie mamy wcale dużo turystów. Przechodząc z grupą na trasach, czasem nie spotykam nikogo.

Uważam jednak, że trzeba będzie poprawić całą infrastrukturę, przede wszystkim parkingi, bo to jest najważniejsze. Dla mnie największym problemem organizacyjnym podczas wycieczek jest właśnie parking. Od tego zaczynam, bo do mnie przyjeżdża na przykład 50 samochodów i muszę je zmieścić w jednym miejscu, a nie ma takich możliwości. Musimy też poprawić bazę noclegową. Jeszcze wciąż za mało mamy typowych agroturystyk i schronisk turystycznych. Pensjonaty są drogie. Brakuje miejsc odpoczynku, informacji turystycznej. Boję się, że może się okazać, że nagle turyści, którzy zostaną zwabieni hasłem Geoparku UNESCO, albo się rozczarują, albo nas zhejtują. Trzeba zatem od infrastruktury zacząć. No i od ludzi. Uzmysłowić im, że na turystyce można zarobić.

I już na koniec naszej rozmowy chciałam się dowiedzieć, czy tak rozległą wiedzę na temat Gór i Pogórza Kaczawskiego, Krainy Wygasłych Wulkanów zamierza Pan ująć w jakiejś publikacji? Co prawda mówią, że w internecie nic nie ginie, ale inne znaczenie ma książka, a inny posty na fejsbuku.

Bardzo dużo ludzi mnie o to pyta. I zawsze

mówię, że myślę o książce, ale to musi być porządna publikacja, z bogatym materiałem graficznym, a to kosztuje. Być może skończy się to napisaniem jakiegoś grantu i próbą pozyskania na to pieniędzy, żeby można było wydać książkę bez inwestowania własnych środków, bo to, co ja robię, robię za darmo, więc z tej działalności nie osiągam żadnych dochodów. Zastanawiam się nad uruchomieniem kanału na you tube i przeniesienia tam materiałów z obydwu cykli („Stop! Zabytek! I „Stop! Natura!".

Życzę w takim razie skuteczności w pozyskiwaniu funduszy, czekam na książkę, a tymczasem witam w Kapitule wyborów Człowiek Ziemi Złotoryjskiej.

Ze Zbigniewem Mosoniem rozmawiała Iwona Pawłowska
Archiwum Zbigniewa Mosonia oraz E-legnickie

Z Koźmina Wielkopolskiego do Złotoryi

Pan Henryk Pawłowski odszukał nas w szkole, gdy przeczytał w „Echu Złotoryi" informację o zbieraniu wspomnień do monografii złotoryjskiej „Trójki" na jej 60-lecie. Usiedliśmy z nim i Damianem Komadą w pokoju nauczycielskim, a pan Henryk rozpoczął swoją opowieść, nie tylko o pracy zawodowej, ale także o jego życiowych wyborach i drodze do Złotoryi.

Oddajmy mu głos: „Przeglądając „Echo" znalazłem wzmiankę o monografii szkoły. Stwierdziłem,że większości z nauczycieli, którzy mogliby coś opowiedzieć o szkole, nie ma już wśród nas. Mówię tu o szkole zawodowej, która mieściła się nad „Trójką". Szkołę podstawową prowadził od samego początku Kazimierz Kalwaj. SP3 zaczęła się powiększać, gdy Inspektorem Oświaty byli kolejno Styś, potem Arłukowski i Górzański. Ja przyszedłem do zasadniczej szkoły zawodowej dokształacającej, jako nauczyciel zatrudniony na godziny. Pierwszą szkołę zawodową w Złotoryi, mieszczącą się tam, gdzie potem była drukarnia, prowadził Antoni Stępczak. Chodzili do niej młodzi ludzie, którzy chcieli się czegoś nauczyć u rzemieślników. Po jej zamknięciu powstała kolejna szkoła zawodowa - dokształcająca - filia szkoły z Jawora. Miala swoją siedzibę w budynku liceum. Zdecydowano o budowie nowej szkoły podstawowej, ponieważ Złotoryja nie miała praktycznie budynków szkolnych: budynek liceum remontowano po spaleniu przez Rosjan, w SP1 była komenda milicji. Do Złotoryi przyjechał z Nowogrodźca Kalwaj, ściągnięty przez inspektora do pracy w nowopowstającej „Trójce". Tu, gdzie dzisiaj jesteśmy, było praktycznie ściernisko, pole.

Mam teraz skończone 88 lat. Pochodzę z miejscowości Koźmin Wielkopolski, powiat krotoszyński. Moja rodzina należy do jednej z gałęzi rodziny szlacheckiej (herbu Jastrzębiec). Mam tytuł barona, corocznie organizujemy zjazdy rodzinne (200 - 300 osób). Pamiętam początek wojny. Mieszkaliśmy 60 km od granicy, Niemcy byli u nas już o 4 rano. Okres okupacji spędziłem u obojga dziadków. Najpierw u tych ze strony ojca: Franciszki i Jacka. Po ich śmierci wychowywała mnie babcia ze strony mamy – Stanisława Preiss. Dziadka Sylwestra nie poznałem. Prowadziła przed i po wojnie restaurację w Gościejewie. Ukrywał się u niej ksiądz. Był to wysoko postawiony w hierarchii kościelnej brat mamy Alfons. Moja mama Salomea, z domu Preiss, została w 1943 r. aresztowana i osadzona w więzieniu w Rawiczu. W 1946 r. została zamordowana na tle rabunkowym. Mój ojciec Ludwik był żołnierzem września 1939 r. i dostał się w Rumunii do niewoli. Potem przeniesiono go do Austrii i tam przebywał do 1946 r. Niedługo po powrocie zmarł. Zostałem sierotą. Miałem siostrę Janinę, ale nie widziałem się z nią w czasie wojny. Nie wiem, kto ją wtedy wychowywał. Gdy tato wrócił, spotkał się z nami na dworcu, dał mi i siostrze parę cukierków w postaci kostek cukru. Tyle go widzieliśmy, bo przyszło po niego dwóch panów po cywilnemu i został aresztowany. Nawet nie przyszedł do domu...

Brat mamy nauczył mnie czytać i pisać. W ten sposób zacząłem od czwartej klasy, a nie od pierwszej. Po 3 miesiacach przesunięto mnie do piątej. Po skończeniu podstawówki w Koźminie wstąpiłem do technikum mechanizacji rolnictwa. Przenieśli je do Korsz, za Olsztynem. Nie miałem, jak i czym tam pojechać. Nie miałem pieniędzy. Do szkoły chodziłem w butach po mamie. Dyrektor Marciniec – przedwojenny nauczyciel chcial mi jakoś pomóc. W mieście był zakład doskonalenia zawodowgo, ale ja poszedłem jednak do drugiej klasy technikum ogrodniczego. Musiałem zdać egzamin z przedmiotów zawodowych. Z ogólnokształcących stałem dość dobrze, bo uczyłem się ich na „Wszechnicy Radiowej" ze skryptów. Miałem mieszkanie, więc nie mieszkałem w internacie, ale dyrektor pozwalał mi, znając moją sytuację rodzinną, korzystać tam z posiłków. W trzeciej klasie w marcu 1957 r. ktoś zrzucił na ziemię portret Stalina. Zainteresowano się nami, zawieszono na 7 miesięcy w nauce i wysłano nas na praktyki. Zmieniono także dyrektora. Musieliśmy opuścić szkołę i podzielono nas po 2-3 po całej Polsce do pracy w PGR.

Salomea - matka pana Henryka

Pani Mochyła i pan Pawłowski z klasą zasadniczej szkoły gastronomicznej

Pierwszy zjazd rodzinny - 1947

Ja trafiłem do Wałbrzycha do spółdzielni produkcyjnej. 30 października dowiedzieliśmy się, że mamy stawić się w szkole ogrodniczej w Bielsku Białej. Tam był dyrektorem pan Szumiec, a zastępcą pan Pietrzykowski (ojciec znanego boksera). Było nas 12 chłopaków, a dziewczyny trafiły do Powiercia koło Koła.

Po zdanej maturze w Bielsku trzeba było pójść do pracy. Ja dostałem nakaz do Wejherowa do szkoły rolniczej. Sam, bez rodziny, musiałem sobie radzić. Kazano mi uczyć w szkole rolniczej. Miałem 18 lat, żadnych kwalifikacji. Uczniowie byli starsi ode mnie. Zostałem kierownikiem nauk praktycznych, nadzorowałem praktyki. Wysłano mnie do Gdańska na roczny państwowy kurs kwalifikacyjny dla nauczycieli w liceum pedagogicznym. Wtedy ich brakowało, wystarczyło mieć maturę i uczyć. Zdałem drugą maturę jako ekstern, z jedną trójką ze śpiewu, a zdawało się wszystkie przedmioty. Wróciłem do Wejherowa i uczyłem biologii oraz przedmiotów zawodowych z ogrodnictwa. Chciałem dalej się kształcić, zostać weterynarzem. Złożyłem papiery do Olsztyna, ale nie otwarto tego kierunku, więc skończyłem studium nauczycielskie na kierunku biologia. Jako sierota dostałem akademik i stypendium. Otrzymałem skierowanie do pracy do Wałbrzycha i przyjechałem do Złotoryi odwiedzić ciotkę. Na ulicy Karola Miarki mieszkała siostra mojej mamy. Mieli z wujkiem dom i dość duże ogrodnictwo.. Zachęcali mnie do pozostania w Złotoryi. U nich spotkałem Dyrektora liceum pana Bociana i Przewodniczącego Miejskiej Rady pana Sinka. On też pochodził z Koźmina. Zostałem, bo szukali nauczycieli. Zaproponowano mi stanowisko nauczyciela i wychowawcy. W tym czasie były dwa licea: z językiem polskim i ukraińskim. W tym drugim byłem wychowawcą internatu. Powstała także wspomniana filia szkoły jaworskiej dla rzemieślników (krawcy, kucharze, itd.) z kierownikiem panem Bekasińskim. Liceum ukraińskie przeniesiono potem do Legnicy. Cały budynek był do dyspozycji ogólniaka. Uzupełniłem wykształcenie w Zielonej Górze na wydziale matematyki, fizyki i techniki na kierunku technika. Kończyłem jeszcze różne kursy, np. szkolenie kierowców. Kazimierz Kalwaj wziął mnie do siebie, aby pomóc mu w organizacji szkoły zawodowej w budynku „Trójki". Było bardzo dużo chętnych do nauki zawodu. Po jego wyjeździe zaproponowano mi kierownictwo szkoly zawodowej gastronomicznej, z siedzibą na trzecim piętrze SP3. Izby lekcyjne miały podstawowe wyposażenie, brakowało na specjalistyczny sprzęt, np. kuchenki, maszyny do szycia. Kubki i talerze kupowano ze składek na radę rodziców. Mieliśmy ok. 300 uczniów, wtedy częściej wybierano szkołę zawodową, niż ogólnokształcącą. Organizowane były kursy krawieckie. Był lekarz na etacie, który decydował też

o zwolnieniu z wuefu. Te zajęcia, najczęściej na powietrzu, prowadził Zdzisław Kułaga. Jako kierownik szkoły miałem 6 godzin zajęć, ale wizytowałem często nasze dziewczyny na praktykach kucharskich i kelnerskich w całym powiecie.

Współpracowałem z panią Górzańską. Trwało to do 1970 r. Wtedy wybudowano szkołę na Wojska Polskiego. Jej pierwszym dyrektorem został Marian Kowalczyk, a ja jego pierwszym zastępcą ds. warsztatów. Tworzyłem je od jednej obrabiarki. Potem szkoliliśmy też spawaczy, ślusarzy, krawców. Na emeryturę przeszedłem z ogólniaka. Jako emeryt pracowałem jeszcze 12 lat jako kierownik Wydziału Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego w Starostwie Powiatowym. Z pierwszych

Odznaczenia i medale pana Henryka

Od lewej odznaczenia szlacheckie

licealnych nauczycieli żyje jeszcze Czesiu Rydzik - matematyk, pani Chrzanowska - rusycystka i ja. Kiedyś był większy szacunek dla nauczycieli, większa dyscyplina.

Mimo mojego wieku nadal pracuję społecznie. Jestem prezesem Stowarzyszenia Dzieci Wojny (ok. 100 członków w kilku oddziałach). Zajmowałem się zaopatrzeniem w produkty żywnościowe i nadal organizuję wyjazdy wypoczynkowo-rehabilitacyjne. Jestem prezesem Związku Inwalidów Wojennych, Miejskiego Oddziału Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego, dowódcą oddziału Strzeleckiego „Strzelec" w stopniu podpułkownika, członkiem zarządu Dolnośląskiego Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, członkiem Unii Polskich Ugrupowań Monarchistycznych. Za swoją działalność otrzymałem ponad 200 różnych odznaczeń. " *

*Notka biograficzna pana Henryka została zamieszczona w „Encyklopedii OSOBISTOŚCI Rzeczypospolitej Polskiej", wyd. przez British Publishing House, IX 2023.

Należy pogratulować panu Henrykowi jego aktywności, świetnej pamięci i pozytywnego nastawienia do życia, mimo wielu przeciwności losu, na jakie natrafiał. Oby jak najdłużej był w takiej formie, czego mu życzymy.

Wioleta Michalczyk, Damian Komada

Wilhelm Tell z Pielgrzymki

Kiedy zabierałem się za pisanie niniejszego artykułu, dostałem od trenera, bohatera tego tekstu, opis sukcesów z ostatnich lat. Mam problem w jaki sposób ją czytelnikom zaprezentować. Ten indeks zająłby nam 3 strony pisma. Zatem musicie mi Państwo uwierzyć na słowo. Lista jest imponująca. Są na niej sukcesy w mistrzostwach, świata, Europy i Polski. Puchary juniorów i seniorów. A wszystko to wzięło się z pasji, którą w Pielgrzymce się po prostu czuje. Poprosiłem o rozmowę trenera Henryka Jurzaka i zawodniczkę Joannę Sybis.

Henryk Jurzak: Moja przygoda z łucznictwem zaczęła się tak jak w wielu innych przypadkach. Jako dziesięcioletni chłopiec bardzo chciałem strzelać z łuku. Ojciec zrobił mi taki z leszczynowego kija. Różnica była taka, że mnie to nie przeszło, tak jak większości, którym to małe zamiłowanie minęło. Szukałem klubu w okolicy, ale ponieważ wychowywałem się na wsi, to niestety dużych możliwości nie było. Mieszkałem w Grodźcu. Odbywały się tam turnieje rycerskie, niemniej z prawdziwym łucznictwem jeszcze się nie zetknąłem. Szkołę średnią kończyłem w Legnicy, tam niestety także nie było możliwości. Wybrałem Akademię Wychowania Fizycznego z nadzieją, że w końcu będę miał okazję postrzelać. Niestety już na początku moich studiów spaliły się maty łucznicze a profesor, który się tą dyscypliną zajmował wkrótce zmarł. Po studiach zacząłem pracę jako młody wuefista w Proboszczowie. Miałem już wówczas dwie córki. Od razu chciałem wykorzystać możliwości jakie się przede mną otwierały. Wyszukałem możliwości wśród programów ministerialnych. Ojcem tego pomysłu był nieżyjący już ówczesny poseł Marek Wielgus, który na początku lat 90-tych stworzył program Uczniowskich Klubów Sportowych. Wybrałem dwie dyscypliny sądząc, że jak na wiejską szkołę będzie to wystarczające. Pierwszą był tenis stołowy. Z Polskiego Związku dostaliśmy 4 stoły. Drugą dyscypliną była koszykówka. Pomyślałem, że to dobry pomysł, by trenować dyscypliny indywidualną i drużynową. W ministerstwie powiedziano mi, że jeszcze Polski Związek Łuczniczy ma do rozdysponowania sprzęt. Oczywiście powiedziałem tak! Jeden z legnickich trenerów przywiózł mi sprzęt. Zdawałem sobie sprawę, że o trenowaniu łucznictwa nie mam najmniejszego pojęcia. Początkowo ucząc dzieci, uczyłem się sam. W ciągu trzech miesięcy przygotowałem się do halowych mistrzostw Polski seniorów. Zająłem tam 41 miejsce. Chciałem zrobić to po to, żeby sprawdzić jak bardzo adrenalina wpływa na proces przygotowania. Dla mnie jako trenera było to cenne doświadczenie. Dziś posiadam uprawnienia klasy mistrzowskiej. Najwyższe w polskim sporcie, ale moja wiedza trenerska rodziła się długo. Początkowo korzystałem z literatury, dopiero później mogłem korzystać ze szkoleń, aż do momentu, kiedy Polski Związek Łuczniczy nadał mi klasę mistrzowską. Miałem także epizody działacza. Dziesięć lat temu byłem dyrektorem sportowym w związku. Wówczas wraz z kolegami z działu metodycznego sporządziliśmy skrócony opis metodyki pojedynczego strzału. Rozłożyliśmy go na poszczególne elementy i nazwaliśmy je: *Od utrzymania „posągu łucznika" do trafienia w tarczę*. Jest to wciąż najlepszy podręcznik. Przynosi on wymierne efekty zwłaszcza w młodszych kategoriach wiekowych. Niemniej do tej wiedzy, którą posiadam teraz musiałem dojść sam. Może pewnym ułatwieniem było to, że w wieku 37 lat zostałem Prezesem PZŁ. Dzięki temu mogłem być na Olimpiadzie w Pekinie. Później przez kolejne 4 lata byłem dyrektorem sportowym związku i zarządzałem przygotowaniem do kolejnej Olimpiady w Londynie. Tam niestety nie mieliśmy takich sukcesów jak poprzednio, ale nie dlatego, że to my byliśmy słabsi, ale dlatego że to świat poszedł bardzo do przodu. Takie kraje jak Bangladesz, z których kiedyś żartowaliśmy, zrobiły olbrzymi postęp, na ogół wynajmując koreańskich trenerów. Kiedy w roku 1972 Polska zdobywała medal olimpijski, na olimpiadzie w łucznictwie startowało ok 20 państw. Dziś na mistrzostwach świata, które są kwalifikacją olimpijską startuje ponad 60 reprezentacji. Nie można zatem mówić, że jest to dyscyplina niszowa. Na torach łuczniczych na ogół nie ma kibiców. Wynika to ze specyfiki sportu. Trudno jest zobaczyć tarczę, powiedzmy ze 100 metrów, ale do tego potrzebna jest kosztowna luneta, no i wiedza np. taka jaki kolor lotek ma każdy z zawodników. Zawody polegają na dwóch rundach na kwalifikacyjnej i finałach. W kwalifikacjach wykonuje się z 70 metrów określoną ilość strzałów. W igrzyskach są to 72 strzały w konkursie. Klasyfikuje się 64 zawodników od pierwszego do ostatniego miejsca. Ta runda odbywa się w ciągu jednego dnia. Po niej następuje runda finałowa, gdzie dochodzi do pojedynków. Łucznictwo to sport walki. Zawodnik z najlepszym wynikiem mierzy się z ostatnim. Wbrew pozorom w finale rzadko zdarza się, by spotkali się pierwszy z drugim zawodnikiem z eliminacji, bo często odpadają gdzieś na etapie ćwierć finałów. Czasem w sytuacji remisowej o zwycięstwie decyduje pojedynczy strzał. Łucznictwo to dyscyplina bardzo widowiskowa z tym, że aby pokazać ją w telewizji potrzeba kilkunastu kamer, a nie każda stacja jest tym zainteresowana.

Edyta Golec

SPORT

Sądzę, że średniowieczni łucznicy mogli mieć większą powtarzalność, niż współcześni zawodnicy. Angielski łucznik walczący w wojnie stuletniej, służył 20 lat. Zanim był dopuszczony do bitwy musiał nauczyć się wystrzlić 6 strzał w ciągu minuty. Długi łuk angielski wymagał przy tym bardzo dużej siły. Jestem przekonany, że mając współczesny sprzęt narobiliby sporo zamieszania na zawodach. Ciekawostką z tamtych czasów był fakt, iż jeńcom ucinano palce, aby więcej nie mogli strzelać. Po bitwie pod Azincourt robiono to masowo, ale jak się okazało dobremu łucznikowi wystarczał 1 palec. Uniesiony w stronę przeciwnika, do dziś pozostaje znakiem wulgarnym.

Najważniejsza w tym sporcie jest powtarzalność. Odległość olimpijska to 70 metrów. „dziesiątka” to zledwie 12 centymetrów, Czyli żeby trafiać wciąż w „dziesiątkę” można się pomylić maksymalnie o 6 centymetrów. W łuku olimpijskim nie ma muszki i szczerbinki, jest tylko jeden punkt celowania na łuku, reszta to jest ustawienie pozycji łuczniczej, do tego dochodzą warunki atmosferyczne, które rzadko są bezwietrzne, sprzęt dziś nie ma już takiego znaczenia bo czołowi zawodnicy z każdego kraju strzelają z najwyższej klasy łuków. Wniosek z tego, że to co ma decydujące znaczenie, to przygotowanie psychiczne. Czasem selekcja zawodników przybiera formy ekstremalne. Korea Południowa doprowadziła poziom swoich zawodników do tego poziomu, że kiedy trzeba było wybrać reprezentację na igrzyska, trener miał duży problem wynikający z nadmiaru talentów. Wsadził zawodników do śmigłowca i pierwszych trzech, którzy odważyli się skoczyć pojechało na olimpiadę. Łucznictwo pod względem psychologicznym jest bardzo zbliżone do strzelectwa. Bez najmniejszych problemów trenerzy strzelectwa przechodzą do łucznictwa i odwrotnie. Poziom sportowy możliwy jest do utrzymania wyłącznie na zasadach profesjonalnych. Jeśli dziś większość zawodników trenuje po pracy, bo musi się z czegoś utrzymać, to szansa, że utrzymają najwyższy wymiar jest znikoma i dotyczy to wszystkich dyscyplin. Najlepszy dziś zawodnik Przemysław Konecki trenuje rano przed zajęciami na uczelni. Po zajęciach również strzela, co daje 3 do 4 godzin dziennego treningu oprócz pracy. Inaczej nie osiągnie się powtarzalności. Pytanie, gdzie to robi? W pokoju po prostu. Niewielka mata i lustro koniecznie, by na bieżąco dostrzegać swoje błędy. Większość treningu zimowego jest na niewielkich odległościach w różnych wariantach na przykład przy zasłoniętych oczach. Wysoki zawodnik ma łatwiej, ponieważ dłuższe mięśnie gładkie na plecach dają przewagę, bo naprawdę to one decydują, a nie jakby się wydawało bicepsy. Środek tarczy jest dokładnie na 130 centymetrach od ziemi. Na odległości 70 metrów parabola lotu jest po prostu mniejsza. Pojedynczy strzał nie wymaga dużej siły. Najczęściej to około 25 kilogramów przez około 6 sekund. Ale jeśli w zawodach przemnożymy to przez 120 strzałów, to robi się z tego znaczny wysiłek. Jednakże zdarzają się zawodnicy o fenomenalnych warunkach, którzy potrafią naciągnąć cięciwę z siłą ponad 50 funtów, co daje im niesamowitą przewagę. Ta siła ma wpływ na parabolę lotu. Przy większej sile jest ona mniejsza, a jest to bardzo pożądane. Wpływ na ostateczny wynik ma wiele elementów. Nawet przy dzisiejszej kosmicznej technologii, nie da się wykluczyć tak prozaicznej sprawy jak nagrzewanie łuku przez słońce. Dziś dużą popularność zdobywa łuk bloczkowy. Na razie nie jest używany w zawodach olimpijskich, ale na paraolimpiadzie już tak. Lobbuje za nim federacja amerykańska. W USA jest około 20 tysięcy łuczników klasycznych, ale na niedźwiedzie Grizli, właśnie przy pomocy takiego łuku poluje 6 milionów. My sportowcy mówimy, że to jest łuk bez duszy. Różnica jest taka, że w łucznictwie olimpijskim lewa i prawa ręka muszą działać oddzielnie. Natomiast w łuku bloczkowym jest to znacznie prostsze. W ciągu 10 minut można nauczyć laika, jak trafić w człowieka z 30 metrów. Jest to po prostu pionowa kusza, a ta jak wiadomo jest zabroniona.

Uczestniczymy w zawodach i najczęściej wiąże się to z wyjazdami, ale w Pielgrzymce zdarzyło nam się już organizować zawody rangi mistrzostw Polski. To miejsce ma swój urok i na pytanie, czy wolałbym pracować tutaj, czy w wielkim mieście odpowiadam, że tutaj. Zawodnicy z Wrocławia, w końcu bogatego miasta, kiedy przyjeżdżają do nas zawsze wyrażają zazdrość o warunki do treningu. Inna sprawa, że poziom który reprezentuje nasz klub, wzbudza respekt i gospodarz obiektu siłą rzeczy zaspokaja najpierw nasze potrzeby. Zupełnie poważnie uważam, że trening musi odbywać się codziennie. Prawda, której nauczyło mnie życie mówi, że zawodnik nie istnieje bez trenera, a trener bez zawodnika. Aktualnie mamy podpisanych ponad 40 podpisanych deklaracji. Na trening przychodzi kilkanaścioro dzieci. Do klubu wliczamy również studentów, którzy trenują z oczywistych względów w innym trybie. Mam taką obserwację, że jeśli ktoś dotrwa do matury, to będzie strzelał również później. Oczywiście jak w każdym klubie sportowym i u nas największym problemem są finanse. Samorząd nie byłby w stanie udźwignąć całości kosztów. Istnienie klubu nie byłoby możliwe, gdybym nie znajdował sponsorów zewnętrznych. Jest to problem, który powinien być załatwiany na na szczeblu rządowym. Wytrenowanie zawodnika do poziomu medalowego trwa kilka sezonów. Najszybciej udało mi się wychować mistrza Polski w czasie 3 lat. Każda dyscyplina sportowa kształci młodego człowieka by potrafił pokonywać stres. W życiu za każdy stres trzeba płacić. W sporcie za stres się nie płaci, bo to jest tylko porażka, czego także trzeba się nauczyć. Ponieważ w każdym sporcie, aby raz wygrać, trzeba sto razy przegrać. A wygrywa tyko jeden. Uczymy szacunku dla tego który wygrał, ale medalistów uczymy również szacunku dla przegranych. Zwycięzcy także wkrótce przegrają. Nie pamiętam przypadku, aby mistrz olimpijski w łucznictwie powtórzył ten sukces.

Mam nadzieję, że nawet będąc na emeryturze będę trenerem, bo jest to po prostu moja pasja. Gdyby nią nie było, to nie robiłbym tego na taką skalę i z taką klasą. 28 medali mistrzostw Polski o niej w zupełności świadczy. Niemniej mam świadomość, że kiedy mnie tu nie będzie, to nie będzie tu łucznictwa. Przynajmniej na tym poziomie, na którym jest obecnie. Nie tylko z uwagi na moje doświadczenie, ale być może przede wszystkim chęci do pracy. Namówiłem do „zrobienia papierów” trenerskich pond 30 osób. Część z nich została i pracowała, ale od czasu pandemii znów pracuję sam, tak jak na początku.

Joanna Sybis: Moja przygoda ze sportem zaczęła się w 6. klasie szkoły podstawowej. Miałam wtedy 11 lat. Wówczas mój nauczyciel wychowania fizycznego w szkole w Pielgrzymce, a dziś trener Pan Jurzak zrobił pokazową lekcję wf poświęconą łucznictwu. Bardzo mi się spodobało. Zdecydowałam się pójść na pierwszy trening i połknęłam bakcyla. Dziś trenuję 4 lub 5 razy w tygodniu. Każdy zawodnik ma indywidualny plan a każdy trening trwa około dwóch godzin. Jak łatwo zauważyć poza weekendami trenuję niemal codziennie. Mówię tylko o treningu technicznym, czyli samym strzelaniu. Codzienny trening zaczyna się wspólną rozgrzewką. Wspólną, bo zawodnicy z każdej grupy wiekowej trenują razem. Łucznictwo to z punktu widzenia wysiłku fizycznego dość wymagające zajęcie. To po pierwsze jest sport siłowy, bo do naciągania łuku potrzeba sporo siły. Po drugie ogólnorozwojowe na pewno jest konieczność chodzenia po strzały. Nie da się ukryć, że po strzały trzeba się trochę nachodzić. Szczególnie kiedy treningi odbywają się na dworze. Właśnie teraz od kwietnia rozpoczęliśmy treningi na zewnątrz. Strzelamy z 70 metrów. Po każdej serii strzałów, strzały trzeba przynieść z powrotem. Trwa to długo i mówiąc wprost, jest męczące. Kiedy stoję na torze widzę mój celownik i skupiam się na punkcie celowania. To tak teoretycznie. W praktyce żółte pole w środku tarczy z odległości kilkudziesięciu metrów na postać kropki. Ale to jest ten punkt, na którym skupiam swoją uwagę. Gdybym poprzez celownik obrała inny punkt, zapewne strzał nie byłby taki jak powinien. Ale tak można robić w idealnych warunkach. W praktyce niemal zawsze trzeba brać poprawkę na wiatr i inne czynniki atmosferyczne, jak choćby słońce. Strzała niestety nie leci w linii prostej. To znacznie bardziej skomplikowane. Wzbija się ona 4 metry powyżej tej hipotetycznej linii prostej i dopiero potem opada w kierunku tarczy. Najważniejszą a jednocześnie najtrudniejszą rzeczą do wytrenowania jest powtarzalność. Chodzi o to, że każdy strzał musi być taki sam. To znaczy odbywać się w takim samym czasie, z taką samą siłą, żeby strzała miała taką samą prędkość. Do tego dochodzi obserwacja zmieniających się warunków. Najlepiej, żeby za każdym razem wpadła „dycha”. Oczywiście rożnie się dzieje, ale na moim poziomie nie wychodzę z pola poniżej czerwonego. Wbrew pozorom czasem nie wystarczy trafić w „dziesiątkę” w samym środku żółtego pola jast punkt x, który jest czymś w rodzaju „wyższej dziesiątki”. Kiedy stan pojedynku jest remisowy, następuje baraż, wówczas o zwycięstwie decyduje jedna strzała. Wtedy to x ma duże znaczenie, bo mierzy się odległość trafienia od tego punktu. Często są to milimetry.

Łucznictwo to sport wymagający cierpliwości. Pierwsze sukcesy nie przychodzą wcześniej niż po dwóch, trzech latach treningów. W moim przypadku to było jeszcze, gdy byłam w kategorii młodziczek. W miarę upływu czasu wkładałam w treningi więcej pracy zwłaszcza, kiedy byłam już licealistką. Za swój największy sukces uważam brązowy medal drużynowy w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży. Z tymi zawodami były z mojej strony związane największe emocje. Zgodnie z zasadą, że kto dotrwa do matury to zostaje w sporcie, zamierzam wciąż uprawiać łucznictwo. Matura za miesiąc. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła tak po prostu porzucić treningi. Planuję trenować w czasie studiów. W miastach akademickich na ogół są sekcje łucznicze. We Wrocławiu na przykład trzy. Wbrew pozorom trenować można wszędzie, nawet w pokoju. Ważne, żeby przez okres przygotowawczy czyli zimowy, zachować technikę oraz siłę. Obecnie także poza treningami poświęcam czas na trening siłowy i ogólnorozwojowy. W tej dyscyplinie potrzebny jest rozwój nie tylko techniki, ale i ogólny.

Kiedy przyszłam do sekcji, wraz ze mną przyszło co najmniej 10 osób. Z tego naboru zostałam tylko ja. Myślę, że zadecydował o tym mój charakter, ale też to, że na pewnym etapie szkoda jest zostawić to, na co się tak długo pracowało. Chyba jednak najbardziej szkoda by mi było zostawić ludzi z którymi przez lata się zżyłam. Ludzie są najważniejszą częścią sportu. Być może brak wyraźnych sukcesów niektórych zdeprymował. Ale w sporcie już tak jest, że nie zawsze będzie wychodziło. Zdarza się, że po udanym okresie przygotowawczym, na zawodach nie idzie, to jest dodatkowa motywacja żeby zostać i pracować jeszcze ciężej. Nie każdy jest w stanie takie postanowienie założyć.

Andrzej Wojciechowski

Kanon edukacji

System edukacji od zawsze wywoływał wiele kontrowersji, szczególnie w ostatnim czasie przewrotów w polityce. Choć wiele kwestii w tej dziedzinie wymaga omówienia, tym razem pragnę skupić się na problemie kanonu lektur.

Główną wadą aktualnego systemu, wymienianą zarówno przez nauczycieli, jak i uczniów, jest brak dowolności w wyborze tekstów do omawiania na języku polskim. Większość z obowiązujących lektur nie porusza problemów dzisiejszej młodzieży, a prawdy uniwersalne są przedstawione w oparciu o realia wcześniejszych epok, z którymi młodym ludziom trudno się utożsamiać. Oczywiście uczniowie zdają sobie sprawę z tego, że niektóre teksty muszą być omówione, jako najważniejsza literatura polska. Jednak nie są przekonani co do "Pana Tadeusza" „przerabianego" w siódmej klasie szkoły podstawowej. Z własnego doświadczenia wiem, że niektóre teksty bardzo trudno się czyta ze względu na staropolski język, co z kolei prowadzi do ich niezrozumienia. Kilkakrotne czytanie jednej linijki, strona zapełniona do połowy przypisami oraz bardzo wysublimowane metafory, to czynniki przeszkadzające w odbiorze obszernych dzieł polskich literatów. W tej kwestii nie ma idealnego rozwiązania. Nie można "przetłumaczyć" takich lektur na język współczesny bez utraty ich wartości historycznej, a zrezygnować z nich całkowicie też nie wolno, bo są naszym dziedzictwem narodowym. Możliwe, że docenienia literatury klasycznej trzeba się nauczyć, a nauka ta powinna polegać na oswajaniu się z twórczością wieszczów polskich.

Literaturą przemawiającą do młodzieży jest np. powieś Sylvii Plath "Szklany klosz", ale takiej książki próżno szukać w spisie lektur, a pewnie byłaby nie mniej pożyteczna niż np. „Katedra" Dukaja czy „Madame" Libery. Pewnie takich przykładów jest więcej.

Myślę, że dla żyjących autorów niedźwiedzią przysługą jest włączanie ich tekstów do kanonu lektur, bo to jest równoznaczne z nadaniem im etykiety „niestrawne" lub „nudne".

Temat lektur zawsze będzie budził kontrowersje, ponieważ do wielu różnych czynników należy dodać jeszcze i gust, o którym się nie dyskutuje. Dlatego większa swoboda w tym zakresie może być najlepszym rozwiązaniem. I dla uczniów, i dla nauczycieli, i dla samych pisarzy.

Hanna Sosa LO Złotoryja

Romanse literackie

Trzeba być wybitnie odpornym twórcą, mieć twardy tyłek i na twarzy wymalowane wartości „jak trzeba", by w przeżartym ideologią państwie pozostać artystą niezłomnym. Realia komunistyczne były, jakie były, lecz czy wolno nam przymknąć oczu na czerwone romanse naszych pisarzy? Mam co najmniej mieszane uczucia, bowiem blado wypada fakt, iż po II wojnie światowej Literacką Nagrodę Nobla otrzymała osoba zauroczona Stalinem. Trudno sobie wyobrazić, by ową nagrodę otrzymał zwolennik Adolfa Hitlera (bynajmniej nie dostrzegam istotnych różnic między tymi zbrodniczymi systemami).

Pisząc o laureatce, mam na myśli Wisławę Szymborską. Pani Szymborska - chapeau bas - za twórczość. Z wieloma Pani wierszami się utożsamiam i wręcz pochłaniam je w całości, jednak im człowiek starszy, to chyba trochę... głupszy? Kiedyś, po poznaniu paru utworów Szymborskiej, postanowiłem też rzucić okiem na jej osobowość, życiorys. Przyznać muszę, iż wpadłem w osłupienie, dowiedziawszy się, że Pani Wisława romansowała z samym... Stalinem. Oczywiście, to tylko hiperbola, gdyż zapewne poetka radzieckiego wodza nie poznała, ale jej kilka wierszy na polityczny romans wskazuje.

„Ten dzień" to taki dowód, wiersz o niepozornym tytule, a jednak w samej treści jest bardzo wymowny. W rozmowie z Anną Bikont i Joanną Szczęsną poetka powiedziała: „Ja wtedy uważałam, że komunizm to zbawienie dla Polski i ludzkości. I byłam pewna, że to ja mam rację. Niektórzy ludzie próbowali mnie przekonywać, ale ja sobie tłumaczyłam, że wszystko wiem lepiej".

Wybaczyć też nie umiem Broniewskiemu. Lubię treny, które poświęcił swej córce. „Słowo o Stalinie" powoduje jednak odruch przeciwny do sympatii. Nie jest on dla mnie jednak postacią jednoznaczną, gdyż wykazał się stanowczym charakterem, gdy odmówił Bierutowi napisania nowego hymnu Polski. Twierdził, że byłoby to porównywalne do odcięcia polskiemu orłowi głowy.

Moim zdaniem, nie można mówić, że takie były czasy i pisać należało tak, jak panowie w garniturach kazali. Herbert, Białoszewski, Hłasko - czy wymieniać niezłomnych twórców dalej? Autora „Raportu z oblężonego Miasta" władza próbowała kupić wiele razy - bezskutecznie. Nie twierdzę tutaj, iż każdy powinien być drugim Kaczmarskim i działać w ruchach opozycyjnych, jednak jeśli kręgosłup moralny istnieje, to właśnie władający piórem, powinni się nim szczycić. „Nic dwa razy się nie zdarza" - i niestety - nie zdarzy. Drugiego życia nikt nie kupi.

Może źle osądzam i ci ludzie faktycznie mieli rację? Ideologia została rozliczona przez czas, mam wrażenie, że jeszcze nie przez nas. Nazizm rozliczyliśmy od razu po II wojnie światowej. Nadszedł czas, by rozliczyć kolejną zarazę lat poprzednich, a wraz z tym zastanowić się, czy na pewno historia osądza sprawiedliwie.

Jakub Rębisz LO Złotoryja

Z pasją malowane

5 kwietnia w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbył się wernisaż wystawy malarstwa mieszkańca Wojciechowa **pana Mariana Perlaka**. W październiku 2023 r. ukazał się o nim artykuł w „Echu". Tym razem mogliśmy obejrzeć jego obrazy„na żywo". Wcześniej miał on swoje wystawy w Zamku Grodziec oraz w Gminnej Bibliotece Publicznej w Zagrodnie. W tej ostatniej można było już w zeszłym roku zobaczyć kilka obrazów wypożyczonych przez Dyrektor GBP panią Dorotę Jasińską na Narodowe Czytanie „Nad Niemnem". Stąd właściwie zaczęła się jego droga do pokazania prac szerszemu gronu odbiorców.

Wróćmy jednak do Złotoryi. Zgromadzonych gości przywitała Dyrektor MBP pani Aneta Wasilewska. Przedstawiła sylwetkę artysty, który przybył na wernisaż wraz z żoną, córką i wnuczką. Na wystawie możemy obiejrzeć 45 jego prac, głównie przepięknych krajobrazów, przyciągających wzrok różnorodną kolorystyką.Wiele z nich chciałoby się mieć na swoich domowych ścianach. Nie tylko mnie bardzo spodobał się obraz z widokiem rzeki, w której odbijają się nadbrzeżne dzrewa. Pan Perlak opowiedział o swojej technice malarskiej, o czasie spędzanym codziennie przy sztalugach, o zamianie akrylu na olej. Mówił o początkach malowania, które przerodziło się z czasem w pasję. Maluje - głównie z pamięci miejsca, które ogląda podczas licznych podróży motocyklowych (to jego pierwsza wielka pasja).

Szczególnie miło zrobiło się, gdy pani Dyrektor skierowała w moją stronę - w imieniu swoim i autora prac podziękowanie za zachęcenie pana Mariana do prezentowania swojej twórczości. On osobiście podziękował paniom Malgorzacie Zalewskiej i Karolinie Raczko za pomoc w technicznym przygotowaniu wystawy, a pani Anecie za organizację wernisażu. Mamy nadzieję, że uda się nam obejrzeć kolejną wystawę jego obrazówc, tym razem olejnych,

Wioleta Michalczyk MBP w Złotoryi

Gala Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2023

W czwartek 22 lutego 2024 roku Kapituła Wyboru Człowieka Ziemi Złotoryjskiej wybrała Zbigniewa Mosonia na Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2023. Zgodnie z regulaminem: „wynik wyboru laureata do tytułu Człowiek Ziemi Złotoryjskiej pozostaje tajny, znany wyłącznie członkom Kapituły, do momentu jego ogłoszenia podczas dorocznej gali". To oznaczało, że tajemnica dokonanego wyboru musiała być zachowana przez miesiąc, ponieważ gala odbyła się 20 marca 2024r.

Przygotowania do uroczystości trwały przez cały ten czas. Zaprojektowanie i wydruk plakatów oraz zaproszeń, rozniesienie ich, stworzenie prezentacji o pięciu nominowanych, przygotowanie występów artystycznych, zamówienie i co równie ważne transport tortu, różne uzgodnienia techniczne sali w ZOK, instalacja wystawy starych widokówek w holu, itd., itd.

Nadeszła środa godzina 17.00. Galę rozpoczęła grupa taneczna „Mini Dropy" ze „Street Dance Academy". Potem na scenę weszła Iwona Pawłowska Przewodnicząca Kapituły Wyboru Człowieka Ziemi Złotoryjskiej i jednocześnie Redaktorka Naczelna miesięcznika „Echo Złotoryi", który jest organizatorem tych wyborów. Przywitała gości i poprowadziła całą uroczystość. Wśród gości znaleźli się Burmistrz Miasta Złotoryja Robert Pawłowski, Wiceburmistrz Paweł Kulig, Starosta Powiatu Złotoryjskiego Wiesław Świerczyński, Przewodniczący Rady Miejskiej Waldemar Wilczyński, Wójt Gminy Złotoryja Jan Tymczyszyn i inni mieszkańcy powiatu złotoryjskiego.

Z każdą minutą gali emocji przybywało. Zanim zebrani poznali laureata musieli wysłuchać prezentacji przedstawionej przeze mnie i moją małżonkę Beatę. W międzyczasie wystąpiła też licealistka Ania Chrabąszcz w energetycznej piosence. Zaprezentowaliśmy sylwetki tzw. „wielkiej piątki", korzystając z udostępnionych przez nominowanych zdjęć. „Wielka piątka" nominowanych do tytułu Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2023, to: Aleksander Borys za lobbing i udaną walkę o zachowanie „Wilczej Góry", jako jednej z najpiękniejszych atrakcji turystycznych Ziemi Złotoryjskiej; Zenon Durachta za organizację „Święta Konia", które promuje Kopacz i integruje mieszkańców Ziemi Złotoryjskiej; Mariusz Garbera za rozpoczęcie rozsławiających Ziemię Złotoryjską, badań archeologicznych na Zamku Grodziec; Zbigniew Mosoń za szeroką promocję historii i uroku Ziemi Złotoryjskiej i jej okolic oraz opiewanie ich na własnych stronach portali społecznościowych; Wacław Patalas za 416 stron monografii „Opowieść o Wojcieszowie", której nakład zniknął w kilka godzin po premierze.

Zanim ogłoszony został wynik plebiscytu, w kolejnej piosence wystąpiła koleżanka Ani z liceum, Agata Pawlus. Gdy po występie artystycznym, na scenę weszła ponownie Iwona Pawłowska wszyscy na widowni wyciągnęli szyje i lekko unieśli się na krzesłach w oczekiwaniu werdyktu. Lecz niespodziewanie okazało się, że właśnie w marcu wyszedł 200. numer „Echa Złotoryi" i z tej okazji wydawca miesięcznika Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zarezerwowało sobie czas w trakcie gali na parę słów (nie więcej niż 10 minut), żeby wspomnieć i uhonorować redakcję czasopisma. W tej części wystąpiła prezeska towarzystwa Kazimiera Tuchowska, która przyznała, że 18 lat temu zapisała się do TMZZ, właśnie przez to „Echo". Jego kształt zaprojektował w 2006r. Robert Pawłowski. Do tej pory nie zmienił się. Te same rubryki, treści i niezwykłe zdjęcia, które zapewniły czasopismu nagrodę Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013r. Obecni i byli redaktorzy uhonorowani zostali przez swojego wydawcę okolicznościowymi dyplomami oraz wniesionym na scenę wielkim koszem z podarunkami, wśród których znaleźć można było liczne słoiczki aromatycznego miodu z pasieki GR „WIEL" Wiesława i Elżbiety Skop z Jerzmanic Zdroju.

Wreszcie werdykt. Jednak nie, jeszcze chwila. Do mikrofonu „dorwał" się burmistrz, który „nie miałby po co wracać do domu" gdyby nie podziękował wszystkim redaktorom. Przez 18 lat jeździli po całej Ziemi Złotoryjskiej szukając tematów, pisali, często w nocy i nie wzięli za to ani grosza, a jeździli tylko i wyłącznie za własne pieniądze. Ale co jest ważne, to przede wszystkim ludzie. To ludzie są, w potężnej już książce „Echo Złotoryi", która miałaby pomiędzy 3 i 4 tysiące stron, gdyby została wydana. Podziękowanie popłynęło także do wydawcy czasopisma przede wszystkim długoletniego prezesa Olka Borysa i obecnej prezeski Kazi Tuchowskiej. Kwiaty otrzymała też redaktorka naczelna, która zapewniła, że przez 18 lat, takich kwiatów od męża nie dostała (?).

Wreszcie werdykt, tuż po kolejnym występie Ani Chrabąszcz, której „Wind of Change" nawiązał do nadchodzacych zmian. Całej „Wielkiej Piątce" wręczone zostały symboliczne anioły.

„Zbigniew Mosoń" powiedziała przewodnicząca i zagrały fanfary, czyli rogi myśliwskie ukryte do tej pory na galerii. Laureat był zaskoczony. Nie krył wzruszenia i z wielkim przejęciem przyjął tego jedynego anioła. Na pewno emocje przeżywała także pozostała czwórka nominatów, bo każdy przecież liczył na ten tytuł i każdy na niego zasługiwał. Ale takie są prawa konkursów, że „There Can Be Only One".

Laureat został odznaczony szarfą i posadzony na specjalnym fotelu, który pełnił rolę swoistego tronu. Wjechał tort, ale nie tylko on był jedynym smaczkiem gali, bo z patio dolatywały już zapachy alzackich podpłomyków prosto z pieca.

Wreszcie oddano głos Laureatowi. Zbigniew Mosoń pogratulował nominowanym, dziękował kapitule, ale także tym którzy go zgłosili do tego plebiscytu. Opowiadał z dumą o swojej działalności i jej perspektywach rozwoju. Na organizowane przez niego rajdy zjeżdżają się ludzie z trzech województw, a on stara się promować Góry Kaczawskie te nieznane. Miejsca poza szlakami, w lasach, ukryte, samotne wychodnie skalne, historyczne pamiątki, kościoły ewangelickie, gdzieś pochowane, do których trafić nie można, a żeby do nich dotrzeć, trzeba używać niemieckich map. Promuje zabytki, bo zabytki uwiel-

bia i w nich się specjalizuje. 16 lat administrował kościołem św. Jana i św. Katarzyny w Świerzawie. Tę pasję kontynuuje. W cyklu „Stop. Zabytek” opisał blisko 100 zabytków, a w „Stop! Natura!” 160 atrakcji przyrodniczych. Docenia to, że kapituła uhonorowała człowieka spoza Złotoryi, bo integruje to całą Ziemię Złotoryjską. A oto przecież nam wszystkim chodzi.

Znowu zagrały rogi i szanowny laureat wysłuchał, jemu dedykowanej piosenki z repertuaru Adele, w wykonaniu Agaty Pawlus.

„Siła Ziemi Złotoryjskiej tkwi w ludziach, tych którzy potrafią porwać za sobą innych i pokazać ten właściwy kierunek.” Te słowa burmistrza skierowane były nie tylko do Zbigniewa Mosonia, ale także do Aleksandra Borysa, któremu Robert Pawłowski, w jednym z ostatnich publicznych występów jako Burmistrz Miasta Złotoryja, pragnął podziękować właśnie za to, że ten pokazał mu taki kierunek.

„Aleksander Borys jest szczególnym obywatelem naszego miasta, który przez dziesiątki lat nieustannie pracuje na rzecz Ziemi Złotoryjskiej. To jest pozytywny przykład, jak działać społecznie pomimo różnych zawieruch. On zawsze był sobą i zawsze działał na rzecz innych.” Mówiąc te słowa burmistrz, w dowód podziękowania wręczył mu metalowy dyplom. „Nie zasłużyłem na takie wyróżnienie.” – odpowiedział Aleksander Borys. „Wszystko to co robię, to jest praca całego zespołu. Przy Wilczej Górze pracowało nas wiele osób. Docierały do nas informacje, że róża bazaltowa, nasz kamienny zabytek może zostać nadwyrężona przez różne ekipy eksploatujące bazalt. Jako górnik to rozumiałem, ale jako złotoryjanin nie mogłem się z tym pogodzić. W końcu udało się nam zrekultywować Wilczą Górę, a efekt daje nam satysfakcję. Za co dziękuję ostatniemu kierownikowi „Wilczej Góry” Henrykowi Sułkowi.” – podsumował Pan Aleksander.

Finał gali to był niezwykły pokaz akrobacji powietrznej na szarfach czterech młodych artystek ze „Street Dance Academy”, działającej wspólnie z Fundacją „TROOD” w Złotoryi, Magdaleny Nowodyły, Amelii Michalczewskiej, Leny Pluty i Hani Rewig.

Na sam, koniec Roman Gorzkowski opowiedział o towarzyszącej gali wystawie widokówek starej Złotoryi… ale to już jest osobna opowieść.

Bardzo dziękujemy naszym sponsorom: Urzędowi Miasta Złotoryja, RPK sp. z o.o. w Złotoryi, Nadleśnictwu w Złotoryi i Pensjonatowi „Przy Milej” oraz wszystkim uczestnikom gali.

Jarosław Jańta
E-legnickie, Gazeta Złotoryjska

Wystawa starych widokówek

Była to impreza towarzysząca podczas gali wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 20 marca 2024 roku. Pomysłodawcą był Robert Pawłowski, zainspirowany przez Romana Gorzkowskiego i Piotra Klimaszewskiego, którzy w Echu Złotoryi prowadzili swego czasu „Kącik starej widokówki”. Organizatorzy z góry założyli, że nie może to być zbyt wielka wystawa. Ostatecznie wyeksponowano 54 fotogramy. Wszystkie zdjęcia są kolorowe, barwy bardzo naturalne, aż chciałoby się zadać pytanie, czy na pewno to są STARE widokówki i jakim sprzętem robiono te zdjęcia? A przecież wszystkie pochodzą sprzed stu i więcej lat. W większości są czarno-białe, czasem wydawano je jako kolorowe, z różnymi nienaturalnymi odcieniami. Dlatego uznano, że lepiej pokolorować dobre, czarno-białe oryginały, niż na wystawie pokazywać kiczowate kolory.

– Widokówki zostały pokolorowane specjalnymi programami opartymi o sztuczną inteligencję – zdradza tajniki wystawy Robert Pawłowski. – Nie tylko pokolorowane, ale najpierw odpowiednio powiększone, zretuszowane, z niektórych zostały usunięte napisy.

O doborze materiału na wystawę tak opowiada Roman Gorzkowski:

– W Urzędzie Miejskim rozłożyliśmy z Przemkiem Markiewiczem na stołach dziewięćdziesiąt widokówek, musieliśmy wybrać około 50, ponieważ tylko tyle było miejsca wystawienniczego w ZOK-u. Zaczęliśmy się zastanawiać nad kluczem doboru. Ostatecznie wybraliśmy w większości te pokazujące centrum miasta. Poza tym uznaliśmy, że warto pokazać fotogramy miejsc i obiektów, których już nie ma w krajobrazie współczesnej Złotoryi lub które mocno się zmieniły. Na przykład na wystawie znalazła się kartka z placem Matejki, na którym widnieje fontanna i kamienica (na rogu placu i Klasztornej). Wyeksponowaliśmy też fotogramy z nieistniejącymi pierzejami w Rynku, które rozebrano po drugiej wojnie światowej. W 1911 roku Niemcy wydali cykl obrazów przedstawiających plac Niepodległości, na których widnieje kościół Mariacki z 1813 roku z cmentarzem, a na drugim planie Baszta Kowalska z zachowanym hełmem, który niedługo potem strąciły wojska napoleońskie. Jest też zdjęcie placu z widocznym fragmentem budynku, który przedstawia dawną szkołę miejską (teraz w tym samym miejscu stoi budynek Szkoły Podstawowej nr 1). Jest też kartka ze zdjęciem dolnego rynku jeszcze bez fontanny Górników, inna z wiatrakiem (jego też już nie ma) u wylotu obecnej ulicy Wojska Polskiego.

Na starych widokówkach przedstawiono też ludzi. Można dokładnie obejrzeć stroje z różnych epok, co robią ludzie na tych zdjęciach, są też dzieci. Sfotografowano ich przeważnie w Rynku przy okazji na przykład targów. Widać, że fotograf dokładnie ich ustawiał przed wykonaniem zdjęcia. Można sobie wyobrazić, jakim przeżyciem było dla nich, zwłaszcza dla dzieci, pozowanie do zdjęcia. Wtedy nie było żadnych zakazów co do rozpowszechniania wizerunku. Ludzie tysiącami kupowali takie widokówki i rozsyłali daleko do swoich znajomych, do bliższej i dalszej rodziny. Kartki były produkowane przez miejscowych fotografów, w Złotoryi również. I taka widokówka z wizerunkiem dzieci była wystawiana w witrynie fotografa. Trzeba pamiętać, że wtedy aparat do robienia zdjęć miał tylko właściciel zakładu fotograficznego, więc taka widokówka zapewne mogła być traktowana jak pamiątka rodzinna. Szczęściarzami byli ci, którym udało się nabyć zdjęcie przed kamienicą, w której mieszkali.

Ogromnym minusem wystawy był brak podpisów pod eksponatami. Organizatorzy spierali się o to między sobą, lecz dyskusje przeciął Robert Pawłowski twierdząc, że wystawa skierowana jest do złotoryjan, którzy znają te wszystkie miejsca, a „jeżeli w pierwszej chwili ich nie skojarzą, to niech będzie dla nich taki swoisty quiz”.

Wiadomo, że widokówki pochodzą od złotoryjskich kolekcjonerów, lecz wszelkie oznaczenia własności przepadły, bowiem znajdowały się na zbyt wielu nośnikach u zbyt wielu osób. Należy pogratulować naszym kolekcjonerom za tak wielkie bogactwo materiału źródłowego o naszym mieście. Może ta wystawa zainspiruje ich do wydania albumu ze starymi widokówkami? Życzymy im tego i póki co zapraszamy do oglądania wystawy w Złotoryjskim Ośrodku Kultury, która potrwa do 1 maja.

Agnieszka Młyńczak
E-legnickie, Gazeta Złotoryjska

Zdrowie psychiczne w Krainie Wygasłych Wulkanów

„Nie ma pacjenta, jest człowiek”
prof. A. Kępiński

Kilka tygodni temu uroczyście został otwarty Oddział Dzienny Centrum Zdrowia Psychicznego Krainy Wygasłych Wulkanów. De facto Centrum przy ulicy Górnej działa już od pierwszych dni stycznia, wtedy pojawili się w ośrodku pierwsi pacjenci. Powstanie Centrum jest efektem programu pilotażowego, w ramach reformy psychiatrii. Takie oddziały powstają w wyznaczonych miastach i obejmują swoim zasięgiem konkretne rejony. Nasz, złotoryjski skupia pacjentów z dwóch powiatów: złotoryjskiego i jaworskiego. W całym kraju jest ponad 100 takich ośrodków. Na Dolnym Śląsku, poza Złotoryją, w Bolesławcu, Wrocławiu i w Jeleniej Górze.

Czym jest Oddział Dzienny i czym różni się pobyt na oddziale przy Górnej od leczenia w Szpitalu Psychiatrycznym, opowiadają **dr Marzenna Maciejak** i **dr Magdalena Kisiel**, które odsłoniły przede mną tajemnice ośrodka przy Górnej.

Jaki jest tryb przyjmowania pacjentów do Waszego Centrum?

Magdalena Kisiel: Żeby trafić do nas, najpierw trzeba się udać do Punktu Zgłoszeniowo-Koordynacyjnego przy Szpitalu Psychiatrycznym. Może tam trafić bez skierowania każda osoba w kryzysie, czy potrzebująca wsparcia psychicznego**.**

Czy należy się wcześniej zapisać?

M.K: Nie, tak, jak powiedziałam, nie trzeba żadnego skierowania, nie ma kolejek i co ważne – wizyta jest bezpłatna. Psycholog wstępnie ocenia, jakiego typu pomocy potrzebuje pacjent, czy dana osoba kwalifikuje się do leczenia w poradni, czyli będzie korzystała z formy ambulatoryjnej. W bardziej skomplikowanych przypadkach kieruje bezpośrednio do psychiatry.

Czyli może być tak, że pacjent albo zostaje w szpitalu, albo kierowany jest do Was?

M.K: Tak, jak są interwencje kryzysowe, na przykład pacjent jest przywożony karetką, jest zaostrzenie choroby, to zostaje przyjęty na oddział stacjonarny w szpitalu.

Marzenna Maciejak:

Pacjent, który nie wymaga hospitalizacji na oddziale stacjonarnym, może być przyjęty bezpośrednio do oddziału. Również po leczeniu stacjonarnym, kiedy stan psychiczny pacjenta nie pozwala na funkcjonowanie w środowisku domowym bez wsparcia. Część pacjentów po ukończeni8 leczenia stacjonarnego lub na oddziale dziennym, może być objętych opieką środowiskową.

Opieka środowiskowa? Czyli chodzicie do domów pacjentów?

M.M: Tak, cały zespół, czyli terapeuta środowiskowy, pielęgniarka, psycholog, lekarz jadą do pacjenta i to, jak obserwujemy od początku roku, bardzo fajnie działa. Wsparcie środowiskowe jest bardzo ważne w procesie leczenia.

Co tutaj w Centrum oferujecie pacjentom?

M.M: Oferujemy tutaj opiekę lekarską, czyli farmakoterapię, psychoterapię indywidualną i grupową, pracę z fizjoterapeutą. Są też konsultacje dietetyczne. Organizowane są również warsztaty zajęciowe i aktywności poza oddziałem co pozwala na przywracanie relacji społecznych.

Na czym to dokładnie polega?

M. K: Jeżeli ktoś jest objęty opieką takiego oddziału dziennego, to przychodzi do nas codziennie. Zajęcia są do poniedziałku do piątku od 8:30 do 13:00 – 14:00. Pacjenci z powiatu jaworskiego są dowożeni busem na zajęcia i później wracają do domu.

Jak wygląda rozkład dnia?

M.M: Pacjenci są podzieleni na dwie grupy, bo obecnie mamy ponad 20 osób. Część osób korzysta z fizjoterapii, bo w leczeniu zaburzeń tego typu ważna jest praca nad motoryką. W specjalnie urządzonej sali są materace do relaksacji i ćwiczeń. Rehabilitant prowadzi też sesje indywidualne, np. masaże. Zajęcia dobiera indywidualnie.

M.K: Są też ćwiczenia na świeżym powietrzu jak również relaksacyjne spacery nad Zielone Oczko, na Wilczą Górę, nad Zalew.

Ćwiczenia fizyczne ogólnie bardzo dobrze wpływają na poprawę samopoczucia.

Mamy też salę terapeutyczną, w której nasi uczestnicy biorą udział w warsztatach rękodzieła, np. lepieniu z gliny.

Kto prowadzi takie zajęcia?

M.M: Nasze terapeutki. Efekty można zobaczyć na naszej stronie: Centrum Zdrowia Psychicznego Kraina Wygasłych Wulkanów.

A co, jeśli pacjent nie chce uczestniczyć np. w ćwiczeniach czy warsztatach?

M.M: Zawsze ma wybór. W tym czasie może skorzystać z naszej biblioteki, może przyjść porozmawiać z terapeutą. Prowadzimy politykę drzwi otwartych, gabinety nie są zamykane, chyba, że na czas rozmowy.

M.K: Dodam jeszcze, że nie tylko oferujemy naszym podopiecznym zajęcia w Centrum, ale też wyjścia do kina, na wystawy, z czego chętnie korzystają.

Wdziałam, że w ośrodku jest jadalnia. Pacjenci mają zapewnione tu posiłki?

M.M: Tak, mają lunch. Poza tym prowadzone są tu warsztaty kulinarne, ostatnio podopieczni robili gofry.

Miejsce sprawia wrażenie bardzo przytulnego.

M.M: Chciałyśmy, żeby było przytulnie, jasno i estetycznie. Mamy też złotoryjski akcent w sali konferencyjnej – powiększone stare widokówki miasta.

M.K.: Pacjenci czują się u nas tak dobrze, że nie chcą od nas wychodzić. Czują się tu bezpiecznie, mają towarzystwo, no i oczywiście pomoc na wyciągnięcie ręki.

M.M: Myślę, że to wynika z faktu, że działamy zgodnie z dewizą profesora Kępińskiego: „Nie ma pacjenta, jest człowiek”.

Czyli nie pracujecie Panie z chorobą, tylko z człowiekiem? A jakimi problemami trafiają do Was podopieczni?

M.K: Zaburzenia nastroju, nerwicowe, lękowe, depresje, schizofrenia, choroba dwubiegunowa, Bywa, że potrzebują pomocy z powodu tragedii w rodzinie, jak np. śmierć bliskiej osoby.

W jakim wieku są osoby, które mogą przebywać na oddziale dziennym?

M.M: Osiemnaście plus. Dla osób młodszych przeznaczony jest oddział dzienny w szpitalu powiatowym, a to już odrębna instytucja.

Co jest skuteczniejsze w leczeniu zaburzeń psychicznych: farmakologia czy psychoterapia?

M.M: Połączenie tych form.

M.K: Każdy przypadek jest inny, więc musimy to rozpatrywać po prostu indywidualnie.

Jak Panie sądzą, jest duże zapotrzebowanie na takie ośrodki?

M.M: Tak, nasz oddział od pierwszych dni bardzo szybko się zapełnił. Jesteśmy elastyczne, jeżeli ktoś wymaga pomocy, jest poważny problem, nie może poczekać, przyjmujemy od razu.

M.K: Tu nie ma łóżek, więc nie jesteśmy tym ograniczone. Ale jest pewna procedura. Osoby chętne powinny skonsultować się z punktem Zgłoszeniowo - Koordynacyjnym.

Czyli można powiedzieć, że ten punkt Zgłoszeniowo-Koordynacyjny to jest taki SOR, gdzie w nagłych wypadkach trzeba się udać, specjaliści ocenią, jak pomóc i potem dopiero wdraża się leczenie?

M.M: Tak, tam zapada decyzja co do dalszych kroków postępowania. I widać, że działa to bardzo dobrze.

Czyli już Panie mogą ocenić skuteczność pracy z pacjentami w ośrodku?

M.M: Tak, już mamy pierwsze sukcesy pacjentów, którzy opuścili ośrodek i podjęli aktywność zawodową (współpracujemy z Urzędem Pracy). Rzecz jasna nadal są objęci wsparciem, ale tym środowiskowym. Jesteśmy pod wrażeniem, jak połączenie farmakoterapii, oddziaływania terapeutycznego, psychologicznego, środowiskowego przynosi efekty.

Mam wrażenie, że coraz więcej ludzi doświadcza problemów psychicznych. Czy Panie to potwierdzają?

tM.K: Na pewno. Powodem jest tempo życia, internet, media, stres wynikający ze stawianiem wysokich oczekiwań, no i duży wpływ na to miała pandemia.

M.M: Dochodzą do tego uzależnienia, od alkoholu, internetu, hazardu… Raz czasy, tempo życia

Czy według Pań nadal wstydem jest prosić o pomoc w problemach psychicznych?

M.M: Myślę, że dziś jest większa świadomość społeczna, jeśli chodzi o choroby i zaburzenia psychiczne. Gdy zaczynałam pracę, co było trzydzieści parę lat temu, przyjście do psychiatrii było wstydem, bo człowiek czuł się od razu napiętnowany. Była stygmatyzacja tych chorób. Teraz to się zmieniło. Myślę, że media mają tu swoją rolę, bo uświadamiają społeczeństwo.

To prawda. Teraz nawet celebryci skłonni są opowiadać o swoich depresjach czy innych problemach psychicznych.

M.M: Mimo wszystko ideą naszego Centrum było stworzenie go poza strukturą szpitala, żeby właśnie nie kojarzono go ze szpitalem. Dlatego jesteśmy tu, na Górnej.

Dziękuję Paniom za rozmowę i życzę, żeby praca w ośrodku wciąż dawała taką satysfakcję, jak do tej pory.

Z Marzenną Maciejak i Magdaleną Kisiel rozmawiała Iwona Pawłowska

Zaszczepiony miłością do zwierząt

***Veterinarius** – tak określano w starożytności osobę, która leczyła bydło i zwierzęta robocze. Obecnie zajmują się tym weterynarze. W Złotoryi znanym i cenionym lekarzem zwierząt jest **Michał Cwynar**, rozmawia z nim Agnieszka Młyńczak.*

Na początek proszę powiedzieć kilka słów o sobie.

Nazywam się Michał Cwynar, urodziłem się i mieszkałem w Legnicy. Naukę w liceum kontynuowałem już we Wrocławiu, a potem tam też studiowałem. Studia ukończyłem w 1984 roku. Ponieważ byłem stypendystą Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii w Legnicy, to dostałem pracę w Złotoryi. Potem poszedłem na rok do wojska, bo wtedy po studiach trzeba było odbyć służbę wojskową. Po wojsku wróciłem do Złotoryi, pracowałem w państwowej lecznicy dla zwierząt, a w 1989 roku nastąpiła w Polsce prywatyzacja. Od tego czasu jestem wspólnikiem w Przychodni Weterynaryjnej w Złotoryi, obecnie wraz z Romualdem Molendą.

Dlaczego akurat weterynaria?

Mój dziadek ze strony mamy, Jan Sokołowski był ornitologiem, w latach trzydziestych XX wieku napisał dwutomowe dzieło „Ptaki ziem polskich", na którym bazowało wiele pokoleń polskich ornitologów. W 1955 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Wykładał w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu. Był wybitnym uczonym, twórcą idei praktycznej ochrony ptaków, popularyzatorem wiedzy przyrodniczej, pisarzem i malarzem krajobrazu. Razem z moim starszym o rok bratem Markiem w ferie odwiedzaliśmy dziadka, który mieszkał w Poznaniu i byliśmy zafascynowani jego obrazami. Malował akwarele, na których przedstawiał naturę i zwierzęta. Dziadek oprowadzał nas po ogrodach zoologicznych i sklepach ze zwierzętami. Był świetnym gawędziarzem związanym blisko z przyrodą i to właśnie ON zaszczepił we mnie miłość zwierząt. W domu miał ze trzydzieści różnych ptaków: szczygły, kanarki, zeberki, makolągwy.

Co należy do pracy weterynarza? Tylko leczenie zwierząt?

Jest to fascynujący i zaskakujący zawód. Oprócz tego, że leczymy zwierzęta, mamy kontakt z ich właścicielami. Jesteśmy więc obserwatorami niezwykłej empatii i troski właścicieli o swoich podopiecznych. Szczepienia profilaktyczne i inne zabiegi umożliwiają nam również obserwacje młodych zwierząt, które jak dzieci są niesforne, ciekawskie i urocze. Mamy również możliwość uczestniczenia w cudzie narodzin, co jest zawsze emocjonującym przeżyciem. Ponadto jesteśmy wyznaczeni przez powiatowego lekarza weterynarii do działań z zakresu państwowego lekarza weterynarii. Należy do tego nadzór nad ubojem w miejscowych zakładach mięsnych. Oprócz tego wystawiamy świadectwa zdrowia dla zwierząt, które trafiają do rzeźni. Badamy również próbki mięsa świń i dzików na obecność włośni dla kół łowieckich w naszym powiecie.

Na czym polega ten nadzór?

Kontrolujemy dobrostan transportu zwierząt. Muszą one mieć zapewnioną odpowiednią wentylację i przestrzeń oraz temperaturę w drodze od gospodarstwa do zakładu mięsnego (rzeźni). Niezbędne jest posiadanie przez przewoźnika świadectwa zdrowia zwierząt, a po przebytej podróży należy zapewnić im odpoczynek. Następnie ja sprawdzam ich zdrowie i dopuszczam do uboju. Z magazynu żywca specjalnym korytarzem zwierzęta przechodzą do klatki, w której są ogłuszane prądem, a po wykrwawieniu tusze trafiają do dalszej obróbki. Wyznaczony lekarz nadzoruje cały proces, aby przebiegał zgodnie z procedurami. Trzewia zwierząt (jelita, serce, płuca, nerki, wątroba) podlegają oględzinom i badaniu, aby wykluczyć choroby.

Jakie zwierzęta leczone są w waszej lecznicy?

Do nas przynoszone są przeważnie małe zwierzęta – psy, koty. Wcześniej, zanim ja tu przyszedłem, była tu duża sala operacyjna, stacjonarnie leczone były konie, bydło. Cennym buhajom przeprowadzano operację uszkodzonych racic, aby mogły nadal poprzez naturalne krycie przekazywać pożądany materiał genetyczny. Obecnie dzięki sztucznej inseminacji nie ma takiej potrzeby. Zdarza się, że ktoś przyniesie chorego dzikiego ptaka, wtedy po wstępnym zaopatrzeniu urazu kierujemy go do Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt Klekusiowo w Tomaszowie Bolesławieckim.

Weterynarz musi czasem też uśpić zwierzę, żeby skrócić jego cierpienia. Pamięta pan swoją pierwszą eutanazję?

Pierwszy taki zabieg wykonałem bardzo dawno, na początku mojej pracy zawodowej. Czułem żal, ale przecież wiedziałem, że muszę temu zwierzęciu pomóc przestać cierpieć i pozwolić odejść z tego świata.

Na czym polega usypianie zwierząt?

Są to dwa etapy: najpierw wykonuje się zastrzyk z preparatów, które znoszą ból i świadomość, podobnie jak przy znieczuleniu przed operacjami. Kolejna iniekcja spłyca oddech i zwalnia rytm serca, po czym zwierzę zasypia coraz głębiej i ostatecznie.

Czy można martwego psa zakopać na przykład w ogródku pod jabłonką, są na to jakieś przepisy?

Zwłoki zwierzęcia należy zutylizować poprzez kremację w wyspecjalizowanych do tego firmach. Na życzenie właściciela może to być spalenie indywidualne. W naszej przychodni informujemy o takiej możliwości. N**ie wolno zwłok zwierzęcia zakopać w ogródku „pod jabłonką", to jest po prostu nielegalne, stanowi wykroczenie, za które grozi grzywna.**

Zdarzają się również wypadki komunikacyjne z dzikimi zwierzętami. W takich sytuacjach jesteśmy wzywani na miejsce i niestety często nasza rola ogranicza się do skrócenia cierpień pokrzywdzonych zwierząt. W takiej sytuacji ciała zabiera administrator drogi.

Jak pan ocenia trzymanie dużych psów w mieszkaniach?

Zacznijmy od tego, że odpowiedzialny właściciel powinien zapoznać się z wiedzą na temat utrzymywania psów, dobrać rasę psa podobnego charakterologicznie do siebie i zapewnić zwierzęciu takie warunki życia, jakie wynikają z jego potrzeb. Bo na przykład jeśli pies uwielbia zimno i leżenie na śniegu, to wyrządza się mu krzywdę trzymaniem w przegrzanym mieszkaniu. Psy mogą żyć z ludźmi, niezależnie od wielkości, tylko jest ważne pytanie, ile czasu zechce mu poświęcić właściciel? Jeżeli wychodzi często na długie spacery, podczas których pies może się wybiegać, to jest dobrze. Ale należy pamiętać, że nie każda rasa lubi tylko biegać. Na przykład psu myśliwskiemu, węszącemu, trzeba wymyślać zabawy, żeby mógł czegoś szukać, aportować, wtedy jest szczęśliwy. Na tym właśnie polega, poza regularnym szczepieniem i odrobaczaniem pupili, odpowiedzialność człowieka.

Bardzo dużo ludzi ma psy, które albo uciekają właścicielom, albo są porzucane. Wtedy stają się bezpańskie i mogą być niebezpieczne dla ludzi.

Kiedyś była akcja Urzędu Miejskiego czipowania psów. Takie oznakowanie umożliwia rozpoznanie psa i szybkie odnalezienie właściciela. Poza tym czip jest niezbędny, aby uzyskać paszport dla psa w przypadku jego wyjazdu za granicę. Bo najważniejsza jest identyfikowalność. Do uzyskania paszportu konieczne jest również aktualne szczepienie przeciwko wściekliźnie, a do krajów skandynawskich i na wyspy brytyjskie odrobaczanie. Pragnę poinformować czytelników, że oznakowanie zwierzęcia jest zawsze możliwe.

Chcę powiedzieć, że mieliśmy sporo pracy z psami i kotami, które przyjechały z Ukrainy ze swoimi właścicielami po ataku Rosji na Ukrainę. Zwierzęta nie posiadały zazwyczaj żadnej dokumentacji. Przez pierwsze dwa lata za przysłowiową złotówkę leczyliśmy je, czipowaliśmy i zakładaliśmy paszporty. Uznaliśmy, że taka pomoc z naszej strony jest sensowna i potrzebna.

Dużo było tych ukraińskich psów?

Tak, sporo, około czterdziestu, a właściciele byli szczęśliwi, że zaistniała taka możliwość. Bo przecież ci ludzie, gdy chcieli wrócić do ojczyzny, to już musieli mieć legalne dokumenty dla zwierząt. Część obywateli Ukrainy wyjechała do Kanady, bo tam jest duża diaspora ukraińska i paszporty dla zwierząt są niezbędne. Teraz już się prawie nie zgłaszają, a gdy już przychodzą, oświadczają, że są w stanie zapłacić rzeczywistą kwotę za usługę, bo przecież pracują i zarabiają w Polsce. Bezpłatna oferta to dla nich *niekomfortno*.

Może pan opowiedzieć o zwierzętach, które zachowywały się w sposób inny niż reszta? Jakieś zabawne sytuacje?

Zdarzyło się, że do Złotoryi przyjechał cyrk i zgłosił się do nas treser lwów. Powiedział, że lwica wymaga długotrwałego leczenia i musi dostawać regularnie zastrzyki. Na początku się wystraszyłem, ale potraktowałem sprawę ambicjonalnie. Co, ja nie potrafię? Okazało się, że mają w cyrku specjalną, bezpieczną klatkę z przesuwaną wewnętrzną ścianą. Dałem radę. Więc gdy na-

stępnie podszedłem do kucyka, który miał kolkę, byłem pełen euforii. Treser kucyków popatrzył na mnie z niedowierzaniem, że ja się w ogóle nie boję. „Panie, przecież on gryzie i kopie"! Wszystko dobrze się skończyło, ale okazało się, że większym zagrożeniem może być zwykły kucyk niż lwica.

Te piękne pejzaże, które wiszą u pana w domu, to autorstwa pańskiego dziadka?

Tak, to są obrazy mojego dziadka Jana Sokołowskiego, a ten chłopczyk to ja. Chcę się pochwalić, że w dniach 7 maja – 7 sierpnia 2016 roku Muzeum Przyrodniczo-Łowieckie w Uzarzewie zaprezentowało wystawę jego obrazów – 145 sztuk. Wydano potem album pt. „Akwarele Jana Bogumiła Sokołowskiego". Doskonałe wizerunki zwierząt osiągnął dzięki profesjonalnej znajomości zoologii i ich zachowań oraz obserwacji z natury. Pejzaże przedstawiają miejsca, w których mój dziadek przebywał. Umiejętność malowania zawdzięczał swojemu talentowi oraz nauce w Monachium w 1917 roku, a od listopada 1919 w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych w Poznaniu, gdzie w 1920 roku uzyskał dyplom nauczyciela rysunków szkół średnich.

W rodzinie funkcjonuje taka opowieść: Dziadek jako mały chłopiec, 6-7 lat, siadał na kolanach swojego wujka i męczył go, żeby mu narysował na przykład zająca. Kiedyś mały Jaś powiedział niezadowolony: „To ma być zając?", a następnie sam błyskawicznie narysował zająca. Rodzina oniemiała, bo okazało się, że rysował perfekcyjnie!

Gdy ja miałem sześć lat, dziadek przyjeżdżał do nas do Legnicy, szliśmy razem do parku. Tam rozkładał sztalugi, ja się bawiłem, a on malował piękne dęby, które niestety po latach powalił orkan. Dziadek pozostawił po sobie tysiące prac – rysunków, szkiców, obrazów.

A pan, panie doktorze, rysuje?

Niestety, nie odziedziczyłem tego talentu, ale za to piszę okolicznościowe wiersze. Mogę zaprezentować dwa limeryki. Pierwszy jest podsumowaniem spotkania mojego i żony z redakcją „Echa Złotoryi":

Siedziałem kiedyś za stołem
Z odbitym od lasu słowem,
Ktoś słuchał ukradkiem,
Ktoś sporządził notatkę
O historii, co toczy się kołem.

Drugi jest o szeroko pojętych wyborach, jakie w życiu podejmujemy:

Pewna pani, co była w cieniu męża,
Pomyślała, pokażę, jak zwyciężać.
Zapisała się w wybory,
I tu sukces całkiem spory.
A i tak „wygrany" dziadek pierś wypręża.

Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę nieustającej miłości do zwierząt oraz poetyckiej weny twórczej.

Agnieszka Młyńczak

Prawa dziecka

Na początku kwietnia w naszym liceum doszło do spotkania uczniów z Rzeczniczką Praw Dziecka panią Moniką Horną-Cieślak, która posiada wieloletnie doświadczenie prawnicze, jednak dopiero od niedawna pełni funkcję rzeczniczki.

Spotkanie odbyło się w auli naszego liceum. Pani Monika Horna-Cieślak przybliżyła realia swojej pracy oraz uświadomiła uczniów, jak bardzo Rzecznik Praw Dziecka jest przydatny w życiu młodszej społeczności. Młodzież naszej szkoły wyraziła bardzo duże zainteresowanie spotkaniem, co można było wywnioskować po ilościach zadawanych pytań oraz czynnym udziale w debacie. Po spotkaniu z całą społecznością liceum, jako przedstawicielki Samorządu Uczniowskiego postanowiłyśmy przeprowadzić krótki wywiad z naszym gościem.

Jak to się stało, że Pani znalazła się u nas w szkole? Spotykam się z młodzieżą w różnych częściach Polski. W tym konkretnym przypadku dostałam zaproszenie na spotkanie z dziećmi, które były na wyjeździe w okresie ferii zimowych w Warszawie. Po spotkaniu uczestnicy podchodzą do mnie, bo tak to zazwyczaj wygląda, zadają pytania, robią sobie selfie, różne zdjęcia. Tego dnia podeszła do mnie Kamila, która właśnie jest uczennicą Liceum Ogólnokształcącego imienia Jana Pawła II. I od słowa do słowa po prostu wpadłyśmy na taki pomysł, żebym przyjechała do Złotoryi.

Z jakimi problemami mierzy się Pani od początku swojej pracy po przejęciu obowiązków od poprzednika? Przede wszystkim jest to reorganizacja pracy biura. Kiedy objęłam stanowisko, to wiedziałam, że biuro nie odpowiada na wszystkie problemy osób młodych. W ogóle nie było zespołu pracowników, którzy stricte zajmowaliby się np. bezpieczeństwem w sieci, bezpieczeństwem danych osobowych, a wiemy, że świat onlineowy to jest bardzo duża część świata osób młodych. Mamy ogromny kryzys zdrowia psychicznego, a tego typu tematy są bardzo ważne. Więc jesteśmy na etapie rekrutowania osób, żeby odpowiadały za potrzeby młodzieży, ale także żeby pracowali tam bardzo kompetentni ludzie.

Jakie największe problemy dostrzega Pani w szkołach, jak i poza nimi?

Po pierwsze to problemy dotyczące w ogóle sytuacji nauczycieli, pedagogów, w zakresie tego, że często są samotni, wypaleni, nie mają odpowiedniego wsparcia, także psychologicznego, nie mają też takiego wsparcia w zakresie reagowania na sytuacje trudne i myślę, że to jest ogromny błąd. Szczęśliwi nauczyciele to też szczęśliwe dzieci. Natomiast innym problemem, który widzę i z którym się też mierzymy, no to jest niestety przemoc w szkole, ale też dociera do nas bardzo dużo sytuacji, w których statuty szkolne są niezgodne z prawem.

Jak Pani ocenia spotkanie z licealistami?

Fantastycznie. Bardzo mi się podobało, w szczególności doceniam samorząd, który się zaangażował, czyli was: Alę i Wiktorię, które to wszystko zorganizowały. Jestem pod wielkim wrażeniem prowadzenia debaty, ale też tego, ile było w ogóle pytań. Na pewno chciałam, żeby właśnie osoby młode usłyszały to, że są ważne, że są wartościowe i że ich głos naprawdę się liczy i żeby nie odbierać im głosu, bo jest tak samo ważny jak głos osób dorosłych. Także moja ogromna wdzięczność za to, że mogłam tutaj być i dziękuję. A także dziękuję Kamili, która mnie zaprosiła.

Jakie drażliwe punkty dostrzega Pani w statutach szkolnych analizując je?

No tak, to przede wszystkim kwestie dotyczące używania telefonów komórkowych, dotyczące monitoringu w szkołach, dotyczące oceniania, zachowania, dotyczące zadawania prac domowych, zbyt dużej ilości sprawdzianów, w ogóle kartkówek i tego, czy powinny być, a jeżeli tak, to w jakiej formie. Kwestia zadawania właśnie prac domowych, ale także i mówienie osobom młodym, że po feriach będą mieć sprawdziany. Tak naprawdę osoby młode nie mają czasu na odpoczynek, tylko na naukę.

Czy uważa Pani, czy powołanie Rzecznika Praw Ucznia jest konieczne?

Wierzę, że tak. Jest konieczne z dwóch powodów. Po pierwsze, ja jako prawniczka bardzo się cieszę z tego, że w ogóle prawa dziecka są rozwijane. Jest Rzecznik Praw Dziecka, ale kolejnym krokiem jest powstawanie kolejnych organów rzeczniczych na rzecz osób najmłodszych i właśnie Rzecznik Praw Ucznia byłby takim właśnie krokiem, który mówi o tym, że doceniamy prawa dzieci i widzimy je. Uważam też, że Rzecznik Praw Ucznia jest potrzebny, ponieważ jest gros praw, które dotyczą sytuacji dzieci w szkołach, przedszkolach itd. Potrzebny jest taki organ, który właśnie czuwałby po pierwsze nad bezpieczeństwem dzieci w szkołach, ale też także na tym, żeby były one w sposób podmiotowy traktowane. My widzimy też w Biurze Rzeczniczki Praw Dziecka, jak wiele jest tych spraw. Uważam, że im więcej podmiotów, które zajmują się tą tematyką właśnie w duchu myślenia o dzieciach, godności, prawach, ale także i obowiązkach. Uważam, że to jest bardzo dobry krok i bardzo to wspieram.

Czy prawa ucznia nie kłócą się z prawami nauczyciela?

Nie, nie kłócą się. Uważam, że prawa dają nam, niezależnie od tego, czy to są prawa ucznia, czy prawa nauczyciela, świadomość tego, że my mamy godność. Zresztą prawa zawsze się powinny uzupełniać w tym zakresie. Jeżeli się nie uzupełniają, to znaczy, że jest ich złe rozumienie. Bo też, jak mówiłam dzisiaj na spotkaniu, dzieciństwo i szkoła powinna łączyć, nie powinna być po dwóch stronach barykady. Bo nie wyobrażam sobie, co może nas nie łączyć, jak właśnie prawa dziecka, czy właśnie chociażby prawa szeroko rozumiane, bo prawa mają nam gwarantować to, żebyśmy lepiej żyli, czuli się bezpiecznie.

Czy prawa ucznia nie są zbyt rozległe w stosunku do obowiązków ucznia?

Jak sobie zobaczymy, jakie mają obowiązki dzieci i w jakiej są sytuacji do 18. roku życia, no to mogłabym dużo tutaj mówić. Myślę, że nie są rozległe, to są takie prawa często podstawowe, w ogóle związane z tym, że mamy prawo do szacunku, godności, bezpieczeństwa, odpoczynku. To są tak naprawdę takie same prawa, jakie posiadają osoby dorosłe. Więc uważam, że nie, wręcz przeciwnie. Myślę też, że naszym dużym krokiem cywilizacyjnym jest to, że mówimy o tym, że człowiek ma prawo. I nie, że jesteśmy w jakimś systemie autorytarnym, tylko właśnie w takim, gdzie dostajemy prawa i to jest bardzo ważne. Więc oczywiście tak samo ważne są prawa i tak samo ważne są obowiązki, tak?

Na zakończenie naszej rozmowy zostałyśmy mile zaskoczone zaproszeniem uczniów naszej szkoły do Warszawy na kolejne spotkanie z rzeczniczką oraz wizytę w Sejmie.

Z Moniką Horną-Cieślak rozmawiały Wiktoria Jędrysiak i Alicja Tokarz Z LO Złotoryja

22 – 26.01 miała miejsce druga edycja „Turnieju Tenisa Stołowego Krainy Wygasłych Wulkanów w Lubiechowej”.

24.01 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyło się spotkanie Festiwalowego Kina Młodzieżowego w ramach Złotoryjskiego Festiwalowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego z projekcją 6 filmów krótkometrażowych.

28.01 w Złotoryi odbył się Złoty Festiwal 32. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

29.01 w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się spotkanie autorskie z Maciejem Młynarczykiem, promujące książkę „Idę, słuchając życia”.

31.01 Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi zorganizowała wieczór muzyczny „Kolędy i pastorałki”.

1.02. w Centrum Biblioteczno-Kulturalnym w Wojcieszowie odbył się wernisaż malarstwa Elżbiety Żak pt. ,,Sudeckie Krajobrazy”.

1.02 Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Złotoryi wystawił sztukę „Ekspres polarny”.

2.02 w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Świerzawie im. Janusza Korczaka odbył się konkurs kolęd i pastorałek.

3.02 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się gala z okazji 10-lecia miejskiego projektu „Aktywni 50+”.

3 - 4.02 w hali Tęcza rozegrany został Turniej Piłki Nożnej Halowej o Puchar Burmistrza Złotoryi.

8.02 kapituła wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej wyłoniła 5 kandydatów do tego tytułu za 2023 rok.

9.02 z okazji walentynek w gminie Zagrodno wystąpił kabaret „Ławeczka”.

9.02 na drogach powiatu złotoryjskiego miały miejsce blokady dróg w ramach ogólnopolskiego protestu rolników.

10.02 podczas XIII Samorządowej Gali Sportu Oskar Chiński ze Sportowej Akademii Taekwon-do Jawor/Złotoryja, został wyróżniony jako znakomity złotoryjski sportowiec.

13.02 w holu Złotoryjskiego Ośrodka Kultury otwarto wystawę dinozaurów przygotowaną przez złotoryjanina Jana Smolarczyka.

15.02 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyło się coroczne spotkanie burmistrza ze sportowcami.

16 - 17.02 w Miejskiej Bibliotece Publicznej miała miejsce akcja „Walentynkowe Koło Fortuny”.

16 - 17.02 w hali sportowej w Pielgrzymce odbył się Gminny Turniej Tenisa Stołowego o Puchar Wójta Gminy Pielgrzymka, Tomasza Sybisa.

17.02 w hali Tęcza odbyło się seminarium sztuk walki Złotoryjsko-Jerzmanickiego Centrum Ju-jitsu pod honorowym patronatem burmistrza Złotoryi.

21.02 w Miejskiej Bibliotece Publicznej zorganizowano warsztaty „Od Wisławy do Melchiora”.

21.02 podczas sesji Rady Miasta ze stanowiska skarbnika gminy miejskiej Złotoryja w związku z przejściem na emeryturę odwołana została z dniem 28 lutego 2024 r., Grażyna Soja, która pełniła tę funkcję przez prawie 32 lata (od 8 czerwca 1992 roku).

22 – 25.02 w sali gimnastycznej Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi odbyły się Międzynarodowe Zawody Klasyfikacyjne PZSS w Strzelaniu z Broni Pneumatycznej o „Wielki Puchar Kaczawy”.

1.03 w Złotoryi uczczono Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

1.03 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się gala rozdania nagród „P4P Złotoryjskiej Ligi Halowej” pod patronatem burmistrza Roberta Pawłowskiego.

6.03 w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbył się wernisaż wystawy fotografii Andrzeja Szalatego pt. „Mali dostojnicy”.

14.03 Polski Związek Emerytów Rencistów i Inwalidów zorganizował w Restauracji „Przy Miłej” spotkanie z okazji Dnia Kobiet i Dnia Mężczyzn.

15.03 w Domu Spotkań i Integracji Społecznej Powiatowy Urząd Pracy w Złotoryi zorganizował Targi Pracy.

16.03 na złotoryjskim Rynku odbyła się 9. edycja „Wiosennego Jarmarku Świątecznego”.

20.03 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury uroczyście ogłoszono wybór Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2023.

21.03 w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym odbył się koncert zespołu Kyczera.

23.03 na strzelnicy przy ul. Legnickiej przeprowadzono zawody strzeleckie o „Nagrodę AGAT-u”.

5.04 w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbył się wernisaż wystawy malarstwa Mariana Perlaka „Z pasją malowane”.

5.04 Gmina Pielgrzymka otrzymała dofinansowanie na budowę II etapu „Cyklostrady Rowerowej” w ramach programu Fundusze Europejskie dla Dolnego Śląska 2021-2027.

6.04 w hali Tęcza odbyły się „Międzywojewódzkie Mistrzostwa Juniorów i Juniorów Młodszych w Taekwondo”, pod patronatem burmistrza Złotoryi.

6 - 7.04 w Złotoryi i Leszczynie odbyły się Międzynarodowe Zawody w Biegu na Orientację „Tajemnice Dolnego Śląska – Złoto-Miedź-Bazalt”.

7.04 odbyły się wybory samorządowe.

13 - 14.04 w Zamku Grodziec odbył się „Drugi Zlot Wiedźm”.

18.04 w Szkole Podstawowej im. Jadwigi Śląskiej odbyły się Eliminacje Powiatowe do XLVII Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy Pożarniczej pod hasłem „Młodzież zapobiega pożarom”.

19.04 Zespół Szkół Zawodowych w Złotoryi oraz Liceum Ogólnokształcące w Złotoryi zorganizowały dla ósmoklasistów Drzwi Otwarte.

20.04 z Winnicy Agat w Sokołowcu wystartowała druga edycja Przygody Samochodowo-Rowerowej „Wokół Wulkanów”.

20.04 Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi zorganizowała piknik ekologiczny „Nie wyrzucaj! Wymień!”.

20.04 w hali Tęcza odbyła się druga edycja „Wiosennego Mine Master Tęcza Cup”, turnieju tenisa stołowego.

20 - 21.04 w Zamku Grodziec odbyło się wydarzenie „Dol Guldur – fantastyczna twierdza”.

21.04 w wyniku II tury wyborów na Burmistrza Miasta Złotoryja zwyciężył Paweł Kulig.

22.04 Geopark Kraina Wygasłych Wulkanów został oficjalnie powitany w światowej sieci geoparków UNESCO i otrzymał czteroletni certyfikat.

26.04 w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbyło się spotkanie autorskie ze złotoryjaninem Patrykiem Kowalczykiem autorem książki „Rubinowa wyspa”.

Opracował: Jarosław Jańta

Wielisławka 1971 - pierwsza z prawej siedzi Helena Szałas

Helena Szałas - na złotoryjskich szlakach

Od marca 2024 r. Helenę Szałas można spotkać już nie na ziemskich, ale na niebieskich szlakach. Wędruje tam po prawie sześćdziesięciu latach swojej pttkowskiej aktywności.

Członkiem PTTK została w 1965 r. w wieku 28 lat. W Oddziale PTTK w Złotoryi pełniła funkcję Wiceprezesa w latach 1975-1981 i członka Zarządu w l. 1980-1990. Od początku związana była z Klubem Turystycznym „Łaziki”. W roku 1968 uzyskała uprawnienia Przodownika Turystyki Pieszej, ukończyła kurs przewodników sudeckich górskich i terenowych (1970) oraz pilota wycieczek zagranicznych (1970). W 1970 r. zdobyła uprawnienia przewodnika górskiego sudeckiego oraz terenowego na obszarze województwa wrocławskiego. Od 1976 r. była Przodownikiem Turystyki Pieszej na obszar Pomorza Zachodniego, Małopolski, Dolnego i Górnego Śląska, Mazowsza i Ziemi Lubelskiej. W latach 1972-1976 była przewodniczącą Komisji Turystyki Pieszej przy ZO. Od 1978 r. pełniła funkcję instruktora krajoznawstwa Regionu Dolny Śląsk, w 1970 r. przewodnika po województwie wrocławskim (od 1976 r. po czterech województwach dolnośląskich klasy I), od 1989 r. przewodnika sudeckiego I i II klasy, od 2001 r. Instruktora Przewodnictwa PTTK. Po powstaniu woj. legnickiego w 1975 r. była członkiem Wojewódzkiej Komisji Turystyki Pieszej i brała udział w projektowaniu i wykonywaniu szlaków turystycznych na terenie województwa. Decyzjami Zarządu Głównego uhonorowana została Srebrną Honorową Odznaką PTTK (1981), Złotą Honorową Odznaką PTTK (1989), Srebrną Odznaką „Zasłużony w pracy PTTK wśród młodzieży” (1985), medalem „Za wybitne zasługi w krzewieniu idei krajoznawstwa” (1980), medalem pamiątkowym z okazji XXXV-lecia PTTK na Dolnym Śląsku oraz X-lecia Zarządu Wojewódzkiego (Legnica 1986), Honorową Odznaką „Turysta Zagłębia Miedziowego” (1989). Była członkiem Koła Przewodników, Instruktorem Ochrony Przyrody, długoletnią weryfikatorką odznak turystyki kwalifikowanej i autorką tekstów w wydawnictwach turystycznych, m.in. o Świerzawie i Górach Kaczawskich. Prowadziła wiele imprez dla dzieci i młodzieży, np. „Rajd z Krokusem”, Rajd „Primaaprilisowy”, Rajd „Ziemniaczek”. W l. 80. XX w. była członkiem komisji, spisującej i fotografującej wyeksponowaną część zbiorów w złotoryjskim muzeum. W 1989 r. należała do Rady Wydawniczej złotoryjskiego PTTK. Do dzisiaj wejście na Krucze Skały w Jerzmanicach-Zdroju ułatwia metalowa drabinka, ustawiona od strony stacji kolejowej z inicjatywy Heleny Szałas.

W pamięci złotoryjan pozostanie jako pomysłodawczyni organizacji Złotoryjskich Płuczek Złota. Myślała o nich dłuższy czas, pisząc np. pracę pt. „Kopalnictwo złota na Dolnym Śląsku”. W roku 1976 r. opracowała scenariusz i złotoryjski Oddział PTTK rozpoczął przygotowania.

Tak o Płuczkach Złota pisała Helena Szałas:

„Pierwszy raz odbyły się w 1977 r. podczas dwóch ogólnopolskich imprez turystycznych: II Rajdu Przewodników Sudeckich i Wysokokwalifikowanego Rajdu Pieszego. Podejmując się organizacji tych imprez, chcieliśmy zaprezentować na mapie turystycznej Polski nasze nowe województwo, które co prawda „miedzią stoi”, ale sąsiednie przewyższają go swoimi walorami turystycznymi. Jak to zrobić? - mocno zastanawiało się grono organizatorów w Zarządzie Wojewódzkim PTTK z prezesem Waldemarem Michalskim na czele. Ostatecznie postanowiono, że każdy terenowy Oddział PTTK opracuje swój program, a potem połączy się je w jedną całość. Dla złotoryjskich „petetekowców” był to problem, bo nowe zagłębie zaprezentować łatwo – pokazując np. kopalnię, hutę. U nas pamiątek jest niewiele, a kilka dziur w ziemi to żadna atrakcja. Postanowiliśmy więc przypomnieć to, z czego wyrosło nasze miasto i co pozostało w jego nazwie.

Sztolnia była już przystosowana do zwiedzania, ale czegoś jeszcze brakowało. W czasach, gdy wydobywano złoto, u wylotu sztolni były urządzenia do płukania urobku. Postanowiliśmy więc w przybliżeniu pokazać jak to się odbywało. Koryta do płukania złota wykonano w warsztatach Zakładu Poprawczego w Jerzmanicach, dzięki zaangażowaniu Jana Wolskiego i Jurka Zbyba, a oprawę artystyczną, opartą na ceremonii pasowania na górnika, pomogli opracować górnicy z Kopalni „Lena” w Wilkowie. Wynik tych działań był zaskakujący dla nas samych.

Pierwsze płukanie odbyło się właśnie u wylotu sztolni, wodą, która z niej wypływa. W urobku, który ze sztolni wynosili kopacze (wychowankowie Zakładu Poprawczego w Jerzmanicach) błyskały złote iskierki. Na ten widok turyści otaczający płuczki rzucili się do nich i zaczęli płukać sami. Obawialiśmy się, że sita nie wytrzymają tego naporu. Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze, mimo że wypłukane grudki okazały się miedzią. Ponadto każdy uczestnik otrzymał mieszek z pamiątkowym napisem i drobną zawartością”.

Podczas Dni Złotoryi w 1978 r. PTTK kontynuował złote tradycje. Przy sztolni pod Górą Mikołaja, pod kierunkiem Heleny Szałas, harcerze z SP 1 uczestniczyli w „płuczkach złota”. W 1986 r. miasto świętowało 775-lecie otrzymania praw miejskich – z tej okazji zaplanowano kilka ważnych imprez. Do najciekawych znów trzeba zaliczyć zor-

ganizowanie inscenizacji „Płuczki złota”. Impreza ta została reaktywowana w 1985 r. z inicjatywy władz miasta, dzięki ich pomocy finansowej oraz zaangażowaniu m.in. Heleny Szałas.

Już po likwidacji złotoryjskiego Oddziału PTTK w 1993 r., Helena Szałas proponowała nie wystawiać pomieszczeń byłego PTTK do wolnej sprzedaży, tylko przeznaczyć na siedzibę firmy turystycznej. W październiku 1993 r. Urząd Miejski, OSiR, TKKF „Piast” oraz grupa działaczy turystycznych z Heleną Szałas zaaagażowała się w organizację kolejnych Płuczek Złota.

Koleżanki i koledzy z PTTK

Castel Gandolfo 1980 - pierwszy z prawej ks. Stanisław

Złota kraina i złoty jubileusz

Dla większości mieszkańców naszego miasta i jego okolic sylwetka księdza Stanisława Włodarskiego zupełnie jest nieznana. Dlaczego więc zaprasza on serdecznie w dniu 26 maja o godzinie 12.00 akurat do kościoła św. Jadwigi w Złotoryi na obchody 50-lecia swoich święceń kapłańskich? Nie uprzedzając faktów, przypuśćmy tylko, że pobyt na ziemi złotoryjskiej musiał pozostawić ważne ślady w jego biografii...

Stanisław urodził się 10 lutego 1944 r. we wsi Świdno w powiecie włoszczowskim na ziemi świętokrzyskiej. Dwa miesiące później, jego rodzice, Bronisława i Jan, utrzymujący się z gospodarstwa rolnego, ochrzcili go w kościele parafialnym w Olesznie. Ksiądz Stanisław później zanotował: „Któż by nie był dumny ze swojego tatusia" – Jan (ur. 1909) służył w wojsku początkowo w Tarnowskich Górach, następnie w 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich oraz w Korpusie Ochrony Pogranicza.

Słabe ziemie i plony na ziemi kieleckiej skłaniały do szukania innych, korzystniejszych miejsc zamieszkania. Z tych powodów, w 1947 r., rodzina Włodarskich, za namową wuja Henryka Strychalskiego, przyjechała po raz pierwszy w nasze okolice i osiedliła się w Twardocicach. Znaleźli pracę w PGR. Stanisław był tutaj świadkiem m.in. popadania w ruinę ogromnego kościoła poprotestanckiego. W 1950 r., po śmierci dziadka Franciszka, Włodarscy powrócili do Świdna. Jan kontynuował prace rolne po swoim ojcu, w okresie zimowym pozyskiwał drewno z okolicznych lasów i kamień wapienny z pobliskich wzgórz. Jako były kawalerzysta kochał konie i nie omieszkał nabyć jednego z nich do prac w swoim gospodarstwie. Był to chyba najbardziej beztroski i pełen dziecięcych zabaw z rówieśnikami okres w życiu Stanisława.

Kontakty z ziemią złotoryjską zostały jednak nawiązane i już jesienią 1953 r. spotykamy rodzinę Włodarskich w Jerzmanicach-Zdroju. Rodzice i brat Henryk zostali pracownikami PGR, Stanisław kontynuował naukę w szkole podstawowej. Jej kierownikiem był wówczas Edward Sokołowski, w roku szkolnym 1953/1954 r. liczyła 68 uczniów w czterech klasach. Po ukończeniu szkoły podstawowej w czerwcu 1958 r., gdy nie powiodło się dostanie do Technikum Leśnego w Margolinie, zdał pomyślnie egzamin wstępny do Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi i zamieszkał we wrześniu 1958 r. w jego internacie. Dyrektorem szkoły był wtedy Edward Kopczak, religii uczył ks. Norbert Łukaszczyk, geografii – Kazimierz Bednarski, historii – Józef Nowak, języka polskiego – Teresa Kopczak, matematyki – Czesław Rydzik. Internat mieścił się na ostatnim piętrze budynku przy ul. Kolejowej. Wkrótce rozpoczęły się jednak poważne kłopoty zdrowotne a pobyty w szpitalu spowodowały przerwanie nauki w LO.

W latach 1959-1964 Stanisław kontynuował naukę w Technikum Ogrodniczym w Bielsku Białej, następnie, już jako jego absolwent, odbył staż w palmiarni w Lubiechowej, aby w 1966 r. powrócić do rodziców w Jerzmanicach-Zdroju. W latach 1966-1968 pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i w Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych w Złotoryi.

Do tej pory, jak widać, losy rzucały Stanisława w różne miejsca. Przeżywał kłopoty zdrowotne i rodzinne tragedie (w 1959 r. tragiczną śmierć brata Henryka i w 1968 r. kuzyna Bronisława). Miał za sobą kilka lat posługi ministranckiej w Jerzmanicach-Zdroju, angażował się w życie parafii złotoryjskiej (kierowanej w latach 1945-1957 przez ks. Michała Dunasa a w latach 1957-1969 przez ks. Onufrego Stankiewicza), cały czas wdzięczny rodzicom za wychowanie i kształtowanie głębokiej wiary. „Po prostu" dojrzało już wówczas powołanie i nadeszła pora na podjęcie najważniejszej z życiowych decyzji – w 1968 r. wstąpił w 1968 r. do Wyższego Seminarium Duchownego we Wrocławiu. 25 maja 1974 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. bp. Wincentego Urbana, a dyplom o ukończeniu Arcybiskupiego Seminarium Duchownego we Wrocławiu podpisał rektor ks. Józef Majka. Towarzyszyło mu motto, jakie obrał na swą kapłańską drogę: „Błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego". 26 maja 1974 r. w kościele Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Złotoryi ks. Stanisław Włodarski, w obecności m.in. ks. proboszcza Stanisława Jakubowskiego, odprawił mszę św. prymicyjną, tydzień później takowa odbyła się w Jerzmanicach-Zdroju.

W latach 1974-2024 pracował jako wikary w Olesznie, Dzierżoniowie, Sobótce, Dankowicach, następnie (1989) został proboszczem w Białym Kościele. Sprawował funkcje Kanonika Gremialnego Kapituły Kolegiackiej Świętego Krzyża we Wrocławiu, spowiednika alumnów Metropolitalnego Wyższego Seminarium Duchownego w Henrykowie, dziekana dekanatu strzelińskiego, został Honorowym Obywatelem Miasta Strzelina.

Czytelnicy już teraz rozumieją, dlaczego właśnie w maju 2024 r. w Złotoryi odbędzie się msza św. jubileuszowa, o którą już teraz pytają na przykład mieszkańcy Jerzmanic-Zdroju, pamiętający rodzinę Włodarskich i młodego Stanisława. Nie można wytknąć Czcigodnemu Jubilatowi, że „zniknął" stąd w 1974 r. Np. w 1969 r. spotkano go na pogrzebie ks. Onufrego Stankiewicza, w 1992 r. na pogrzebie ojca Jana i w 2002 r. mamy Bronisławy, wielokrotnie odwiedzał Jerzmanice-Zdrój, spotykając choćby swych dawnych nauczycieli, odprawiał nabożeństwa w Złotoryi. W Twardocicach mieszkała jego siostra Zenona, w Zagrodnie kuzyni.

Wydaje się, że tylko chwile dzielą ks. Stanisława Włodarskiego od jego pobytu na ziemi złotoryjskiej a obchodami złotego jubileuszu kapłaństwa.

Ksiądz Stanisław Włodarski dziękuje Bogu i ludziom, których do tej pory, spotkał za kapłaństwo i spełnione życie. Życzymy Jubilatowi wszystkiego dobrego i zapraszamy 26 maja do kościoła św. Jadwigi w Złotoryi.

Roman Gorzkowski

Twardocice 1947

Jerzmanice-Zdrój 1958. Pierwszy z prawej Stanisław Włodarski

Ojciec w Pułku Ułanów - Równe 1932

Mama ks. Stanisława

Tata ks. Stanisława

WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE
WE WROCŁAWIU

DYPLOM

UKOŃCZENIA STUDIÓW

KSIĄDZ Stanisław Włodarski

SYN Jana i Bronisławy z d. Olczyk

URODZONY DNIA 10 lutego 19 44 r.

W Świdnie PO ODBYCIU

W LATACH 1968-1974 STUDIÓW FILOZOFICZNYCH I TEOLOGICZNYCH

WEDŁUG WYMAGAŃ KANONU 1363 KODEKSU PRAWA KANONICZNEGO

OTRZYMAŁ NA PODSTAWIE ZŁOŻONYCH EGZAMINÓW Z OGÓLNYM

WYNIKIEM dobry

ABSOLUTORIUM NAUK FILOZOFICZNYCH I TEOLOGICZNYCH

W ZAKRESIE WYŻSZEGO SEMINARIUM DUCHOWNEGO.

NINIEJSZE STWIERDZENIE UKOŃCZENIA STUDIÓW W WYŻSZYM SEMINARIUM DUCHOWNYM

WE WROCŁAWIU WYDANO NA PODSTAWIE UCHWAŁY RADY PEDAGOGICZNEJ

Z DNIA 25 kwietnia 19 74 r.

WROCŁAW, DNIA 25 maja 19 74 r.

L. DZ. 151/74

PREFEKT STUDIÓW

REKTOR
Dyplom ukończenia studiów - 1974

Gdynia 1956. Drugi od prawej klęczy Stanisław Włodarski

1969 - pogrzeb ks. Onufrego Stankiewicza

Kościół NNMP w Złotoryi - 26 maja 1974.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

37

1987 - 2024

ECHO ZŁOTORYI

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 37 lat.
A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: [illegible] tel.: 571254858

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w latach 2020 - 2024:
- ✓ XXV Rajd Jadwiżański w 2023 r.,
- ✓ Dwa filmy nakręcone w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa w 2020 i 2021 r.
- ✓ XIV tom Biblioteczki Miłośników Ziemi Złotoryjskiej pt. „Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w Złotoryi"
- ✓ XIX Powiatowy Dzień Regionalisty pod hasłem „Wilcza Góra wczoraj i dziś"
- ✓ Odbudowa Obelisku Ludzkiego Przemijania

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KLUB KRESOWIAN
* KLUB KOLEKCJONERA
* WALKI I SZLAKI ŚW. JADWIGI WALKI ŚW. JADWIGI

GALERIA SPONSORÓW

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi
Grupa BPS

BAZALT®

1686 PAŁAC KROTOSZYCE

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzetu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR
Złotoryja

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus"), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski - Staw Osadowy

ECHO ZŁOTORYI

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok